ŚWIAT DZIEWCZĄT



Nr 7 CENA 40 gr

Rok I. Warszawa, dnia 1. marca 1933 r. Nr. 7.

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-GO 10-GO I 20-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

NA FRONCIE DZIEWCZĘCYM

Jeszcze jedna „walka z kryzysem"? I to na naszym froncie? O jej! Czy tego nie za wiele? Przecież już tyle książek o tem napisano, tyle mądrych rozpraw, tyle artykułów, a kryzys jeszcze nie myśli odchodzić z tego powodu i narazie nie rusza się z miejsca. I co z takim potworem mają do zrobienia dziewczęta ze szkolnej ławy? Zdaje mi się, że coś tu zrobić mogą, byleby tylko chciały.

Może jedne z Was wiedzą, a inne nie, co wywołało kryzys. Ma on właściwie tak wiele przyczyn, że trudno mówić o wszystkich. Najczęściej wymienianą jest ogólna, powojenna dezorganizacja życia gospodarczego. To Wam niewiele mówi, prawda? A następne przyczyny wydadzą się Wam pewnie dziwne: nadmierny wzrost produkcji, przedewszystkiem wskutek postępu technicznego z jednej strony, a niezdolność konsumcji z drugiej. Można tu krótko powiedzieć, że podaż o wiele przewyższa popyt. Tu jest właściwie trochę błędne koło, bo w wielu dziedzinach maszyna zastąpiła człowieka, więc człowiek pozbawiony pracy, przestał być konsumentem artykułów, które dawniej nabywał. I to również dzięki postępowi technicznemu. Czy to nie dziwne?

Podobnie stało się w wielu krajach z rolnictwem. Wskutek ulepszonej uprawy gleby zwiększyła się jej wydajność niewspółmiernie w stosunku do zapotrzebowania na rynku światowym. Ceny obniżyły się znacznie. Może słyszałyście, że w Kanadzie palą zboże, broniąc się od „klęski" urodzaju? A w innych krajach ludzie głód cierpią. Czy to nie dziwne?

Rezultat tego kataklizmu, zwanego kryzysem, jest taki, że państwa nie mają pieniędzy, miasta nie mają pieniędzy i jednostki też ich nie mają, bo ogólnie zmniejszono zarobki. I ludzie często nie mają pracy, choć są do niej zdolni i chcą pracować. Skutkiem kryzysu jest klęska bezrobocia.

Niejedno państwo prowadzi walkę z kryzysem. Broń stanowią tu cła ochronne, tworzenie nowych placówek pracy, pożyczki dla podźwignięcia krajowego przemysłu i t. p. Tak się dzieje na głównej linji frontu. Ale cóż robić na jego małym odcinku, na froncie dziewczęcym? Może powiecie, że od frontu są mężczyźni w czasie wojny, ale dziewczęta nic z tem nie mają do czynienia. Ale mieć mogą, przecież istnieje np. żeńskie przysposobienie wojskowe. W walce z kryzysem front ten nie jest krwawy, ale musi być niemniej groźny dla nieprzyjaciela, mocny, nie do przerwania!

Trzeba zacząć od zainteresowania się trochę przykrą sprawą: o ile dochody moich rodziców umniejszyły się podczas kryzysu? Następna refleksja: a jakie są moje potrzeby? Jakie wydatki rodziców są związane z moją sympatyczną osóbką? To łatwo sobie uświadomić: muszą coś jeść, gdzieś mieszkać, ubierać się, uczęszczać do szkoły, mieć jakiekolwiek rozrywki. I nietylko ja, ale i starsza siostra, która jest w kl. VII-ej, i brat, który jest na I-ym roku W.S.H. To samo należy się również braciszkowi z VI oddziału szkoły powszechnej i małej Elżuni, która stawia pierwsze kroki na ciernistej drodze nauki. To dosyć sporo, prawda? Ale jakże temu zaradzić? Mimo kryzysu nie można sobie przecież odmówić zaspokojenia tych potrzeb, bo rezultat byłby tak smutny, że wolę o tem nie mówić.

Jest inna droga: ograniczyć swoje wymagania! Powiedzmy sobie: jesteśmy na froncie! Jesteśmy żołnierzami, którzy bronią rodzinnego ogniska przed najsroższym nieprzyjacielem: przed nędzą.

Ograniczyć — to znaczy: gdy obiad podadzą, nie odsuwać z niechęcią talerzy, bo nie widać na stole naszych ulubionych przysmaków, które kiedyś, w lepszych czasach, były. Obecnie ich niema, są za drogie, jemy wszystko, co dają, bo jest kryzys.

Ograniczyć — to znaczy: nie robić tragedyj, gdy z większego mieszkania trzeba się przeprowadzić do małego lub jeszcze jeden pokój odnająć lokatorowi czy przyjąć panienkę „na stancję". Jest ciasno, trudniej o własny, zaciszny kącik, ale w okopach na froncie gorzej być musiało, więc uszy do góry, nic nas nie zgnębi.

A teraz trzecie, najsmutniejsze dla kobiety ograniczenie. nie można już tak się ubierać, jak się sobie wymarzyło. Nie można prosić rodziców, żeby kupili koniecznie „tę różową", jeśli ta niewdzięczna różowa jest właśnie dwa razy droższa od niebieskiej. I nie można błagać ich o takie same cudne, reniferowe pantofelki, jakie ma Wandzia, bo dochody jej rodziców jeszcze na to pozwalają — naszych nie. Również nie można z tego powodu uważać się za żywy pomnik nieszczęścia, ani wylewać strumieni łez gorących, gdyż byłby to straszny wstyd. Dlaczego wstyd — niech na to odpowiedzą Wam wynędzniałe twarze mijających Was na ulicy ludzi głodnych.

A czy chodzenie do szkoły też ograniczyć? I tak sobie naprzykład co drugi dzień zasiąść na szkolnej ławce, bo przecież — kryzys? Niestety — to nie jest wskazane. Trzeba ograniczyć próżniactwo, które, powiedzmy to sobie po cichu, jest bardzo miłe. Jednak przecież niegdyś powiedział Krasicki: miłe złego początki, lecz koniec żałosny. I to trzeba wziąć pod uwagę. Próżniactwo prowadzi prostą drogą do „przenocowania" w klasie, a to jest zbytek, bardzo niewskazany podczas kryzysu. Powtarzać klasę — to po raz drugi powtarzać te same wydatki i o rok opóźnić tę radosną chwilę, kiedy będzie można stanąć przy warsztacie pracy. Więc precz z próżniactwem! I jeszcze: precz z rozstrzepaniem! Nie wolno dzięki niemu gubić książek po bezdrożach, ani zalewać atramentem kajetów, bo jest kryzys, jesteśmy na froncie, gdzie nie wolno marnować nabojów.

Czy to już wszystkie ograniczenia? Jeszcze chyba coś zostało. Aha, rozrywki. Nie można co drugi dzień chodzić do kina, choćby to dawniej było naszym miłym zwyczajem, nie można być w każdej szkole na każdym wieczorku, o którym się tylko usłyszy. Rodzice, nawet najbiedniejsi, przeważnie rozumieją znaczenie i wartość rozrywek. Często sobie odmawiają wielu koniecznych rzeczy, byle się córki zabawiły. Ale czy żołnierz na froncie może wykorzystywać nieuczciwie dobroć dowódcy? Czyż może sam się kryć za jego plecami? Więc bawmy się tyle, abyśmy miały poczucie, że nie wyrządzamy tem krzywdy nikomu, że nie podrywamy równowagi rodzinnego budżetu. Jeśli o tej równowadze będziecie pamiętały, to już będzie Wasza samowystarczalność, taka, na jaką Was stać w Waszym [illegible]

Ale zwycięstwo na froncie nietylko zależy od pewnych posunięć strategicznych. Ważny jest tu zapał żołnierzy, atmosfera moralna, jaka w wojsku panuje. I nam musi zależeć na tej atmosferze w domu. Niech drobne wyrzeczenia się i ofiary nie robią z nas smętnych heroin, bo to było dobre w starych romansach. Bądźmy uśmiechnięte, starajmy się znaleść radość mimo kryzysu. Bądźmy pogodne, pełne wiary w lepsze jutro i rozdawajmy ją najpierw najbliższym, a potem wszystkim, którym jej brak.

Nie wspominałam tu o jeszcze jednym momencie walki z kryzysem: o pracy zarobkowej. To nie jest w wieku szkolnym pożądane, ale w obecnych czasach nieraz warunki do tego zmuszają. Jeśli spotkacie taką koleżankę, która umie pogodzić tę pracę z całokształtem swych obowiązków, spełniając je sumiennie i pogodnie, to odnoście się do niej z wielkim, prawdziwym szacunkiem, bo to będzie najdzielniejszy żołnierz walki z kryzysem na froncie dziewczęcym.

M. Krzyżanowska

ZA PROGIEM SZKOŁY

JESZCZE NA BUDOWIE!

W jakiś tydzień po mojej bytności na budowie zadzwonił telefon i zaproponował uprzejmie głosem Lusi, abym ją znów odwiedziła w jej „pokoju" z różowemi bibułkowemi firaneczkami.

— Zobaczysz coś ciekawego — świegotała przez telefon, — co uraduje twoją duszę dziennikarską i da natchnienie do napisania pomnikowego artykułu.

— Pomnikowe artykuły są dla mnie chlebem powszednim — odparłam skromnie,—przyjdę jednak do ciebie, aby się dowiedzieć, co taki „architekta", uważa za atrakcję.

— Dobra! Tylko niedługo.

Zamknąwszy więc Łozińskiego „Życie w dawnych wiekach" wyszłam z domu i w pół godziny po rozmowie brnęłam już przez stosy cegieł, skąd dochodził mnie donośny głos mojej przyjaciółki, perorujący coś z zapałem.

— Do kogo ona tak przemawia — zastanowiłam się w czasie tej drogi — czyżby robotnicy urządzili strejk, a ona w ten sposób pragnie uspokoić wzburzone umysły?

Nie, to nie byli robotnicy, tylko gromada dziewcząt, w wieku mniej więcej od 15-tu do 18-tu lat, które otoczywszy Lusię z zaciekawieniem, niemal z rozdziawionemi buziami słuchały jej słów.

Zobaczywszy mnie, Lusia przerwała swoją orację i zawołała wyraźnie w moim tylko kierunku:

— Chodź tu prędzej i zawrzyj znajomość z temi pionierkami kobiecej samodzielności, masz do wyboru, co tylko chcesz: architektki i techniczki, wszystkie dotychczas stuprocentowo męskie działy, są reprezentowane przez te oto młode osoby.

Uśmiechnęłam się do „ubereccionych" główek pionierek i odrazu rozpoczęłam rozmowę na temat: a co, a w jakim celu, a co im z tego przyjdzie ,a przedewszystkiem — po co tu przyszły.

Okazało się, że są one słuchaczkami żeńskich kursów technicznych i architektonicznych, a przyszły na budowę z wycieczką, aby zobaczyć pracę autentycznego inżyniera — kobiety.

— Bo dotychczas, proszę Pani, — mówił jakiś blondasek z zaczerwienionym od zimna noskiem, — tak jakoś nie wierzyłyśmy, żeby naprawdę w zawodzie technika czy architekta było miejsce dla kobiet. Uczyłyśmy się, dla zasady, a może nawet dla przekory ,ale pona-[illegible] to było marzenie nieziszczalne. Dopiero gdy przyszłyśmy tutaj, uwierzyłyśmy w celowość naszej pracy.

— A czy jesteście wszystkie z jednych jakichś kursów?

— Co znowu, nietylko nie z jednych kursów, ale nawet nie z jednego miasta. Ja naprzykład, jestem z Wilna, z *Kursów Kreślarsko-Technicznych* Wileńskiego towarzystwa Kursów Technicznych, które się mieszczą przy ul. Holenderka 12, ta szczupła brunetka, co stoi na tej górze cegieł, jest z *Żeńskich Kursów Architektonicznych w Warszawie, ul. Wspólna 81*, tamten śmieszny grubasek w zielonej czapce, to „Techniczka", z *Żeńskich Kursów Technicznych w Warszawie (ul. Hoża 88)*, a ta ulizana blondynka jest Poznanianką, z *Żeńskich Kursów Technicznych (ul. Marsz. Focha 2)*. Taka specjalna wycieczka przyjechała do Warszawy i zwiedza, co może!

— Jak długo trwa nauka na takich kursach? — zapytałam, zgodnie ze swoją dziennikarską pasją do wywiadów.

— To zależy, od roku do 3 lat, ale to i tak się opłaca, jeżeli chodzi o czas, bo cenzus wymagany, to 6 klas, razem ze wszystkiem 9 lat kucia, a potem już praca.

— Ale, właśnie nie zapytałam o najważniejsze. Czem jesteście po skończeniu takich kursów?

— Pomocnicami technicznemi i pomocnicami architektów, to znaczy mówiąc zwyczajnie, mamy tytuł techników, albo techników budowlanych.

— Na czem polega Wasza praca, co budujecie?

Moja rozmówczyni zrobiła smutną minkę.

— No, właściwie, to realnie nic nie budujemy, i dla tego tak nas zachwyca praca tu na budowie. My tylko rysujemy, rysujemy plany, projekty domów, nawet mebli. Różne.

— Musicie więc mieć zdolności do rysunków.

— Koniecznie. Często nawet trafiają się między nami, szczególniej na kursach architektury prawdziwe talenty, ale zdolności matematyczne też są koniecznie potrzebne, no i dokładność i precyzja w pracy.

— Widzę, że lubi Pani swój zawód.

— Bardzo, i nie tylko ja, ale my wszystkie pracujemy z zamiłowaniem. Jeszcze w szkole, marzyłam o czemś takiem, co by nie było za mądre na moje zupełnie średnie zdolności, a co by odpowiadało moim zainteresowaniom matematycznym i rysunkowym. No i znalazłam. Minus jest tylko ten, że kursy nasze są dość drogie. Np. kursy architektoniczne kosztują 540 zł. rocznie, oraz wpisowe 15 zł. Kursy Techniczne są tańsze, ale wogóle to jest dostępne tylko dla dziewcząt zamożniejszych, a to przecież nie ma sensu.

— Wiele rzeczy na świecie nie ma sensu — odparłam wzniośle, — ale jeżeli o Was chodzi, to przynajmniej po skończeniu takiej szkoły macie dobre posady?

— Określenie *dobra posada* jest w obecnych czasach rzeczą względną,—odparła wesoło przyszła techniczka, — ale jeżeli się „takową" wogóle otrzyma, to jest ona płatna od 200 do 300 zł. miesięcznie.

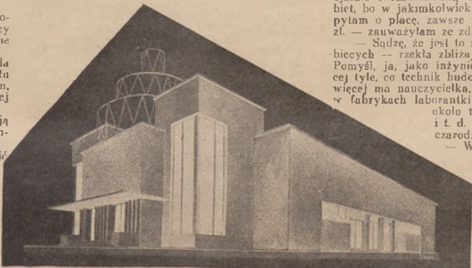
— Liczba 300 zł. jest widocznie cyfrą, specjalnie skombinowaną dla opłacania pracy kobiet, bo w jakimkolwiek zawodzie kobiecym zapytam o płacę, zawsze pada sakramentalne 300 zł. — zauważyłam ze zdziwieniem.

— Sądzę, że jest to maximum zarobków kobiecych — rzekła zbliżając się do nas Lusia. — Pomyśl, ja, jako inżynier zarabiam mniej więcej tyle, co technik budowlany, tyle samo mniej więcej ma nauczycielka, taką pensję otrzymują w fabrykach laborantki chemiczne, tyleż, albo około tego dostają prawniczki i t. d. To jest naprawdę jakaś czarodziejska historja.

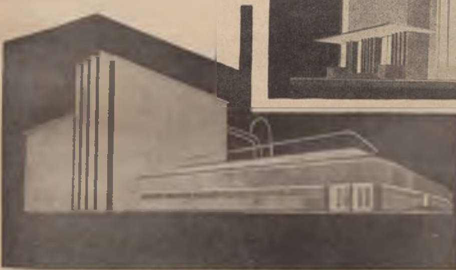
— Wobec tego muszę odszukać jakiś zawód kobiecy zupełnie inaczej płatny, coś oryginalnego, może artystki dramatycznej, może pilotki, albo poprostu krawcowe lub modystki. Jakieś różnice w placach muszą być.

— Wyszukaj — odpowiada Lusia — i napisz a tem do „Świata Dziewcząt". A jeżeli będziesz pisała o mnie, to powiedz im, że zawód architektki jest ciężki, że trzeba mieć do niego specjalne zdolności, ale bardzo, bardzo przyjemny.

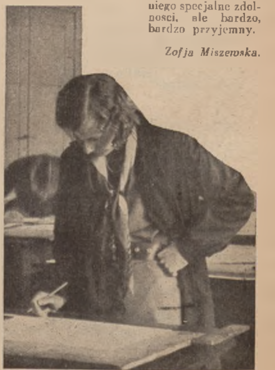
Zofja Miszewska.



...wielkich hoteli, dworców, wszystko nacechowane szlachetną nowoczesną prostotą.



...rysujemy plany, projekty domów,



...trzeba mieć zdolności do rysunków

MOJE PIERWSZE BAŃKI

(opowiadanie)

Czy dziś w okresie takich dziwnych kaprysów natury, w dobie złośliwych intencji Golfsztromu i wiatrów ciepłych i zimnych, może być gdziekolwiek w Europie pięknie i ciepło? Nawet z lazurowego wybrzeża sygnalizują nam, że wyniosłe palmy daktyli i rozłożyste pomarańcze, smutnie pochyliły czoła ze strachem myśląc o mrozie.

Podczas tak brzydkiej aury, zimnej, wilgotnej, zjeżdża do nas zła Grypa. Jest brzydka, ma nos czerwony od kataru, kaszle, łamie po kościach, a często w płuca lub w bok wejdzie i gorączką tygodniami męczy. Najlepszym na nią środkiem są bańki.

Niema prawie domu, gdzieby w jesieni, w zimie i na wiosnę nie zjawiła się nieznośna grypa i nie położyła kogoś z domowników do łóżka. Tam leży chora Mama, tam znowu zakatarzyła się Babcia, ówdzie kaszle Dziaduś lub Tatuś.

— Trzeba koniecznie postawić bańki — orzeka przywołany lekarz.

Ba! rzecz niby łatwa, ale w domu nikt nie umie i każdy spróbować się boi. Trzeba szukać felczera ,dzwonić, telefonować, albo czekać na Ciocię z Żoliborza, która zna różne lekarskie zabiegi domowe, więc umie postawić i bańki. A przecież, to nie jest rzecz tak znowu bardzo trudna i wielkiej filozofji nie wymaga.

Prawie w każdym domu jest młoda panienka, siostra, wnuczka czy córka, która powinna koniecznie umieć stawiać bańki. Taka osoba piętnastoletnia co w szkole przechodzi już kurs sanitarny i przygotowuje się do walki z gazami, powinna by się przedewszystkiem zainteresować tym właśnie lekarskim zabiegiem. Nie czekać, aż znajdzie się felczer, lub przyjedzie Ciocia, ale jak zajdzie tego potrzeba, postawić bańki.

Te refleksje grypowo-bańkowe nasunęły mi myśl, opisania mych pierwszych baniek, postawionych w życiu.

Mieszkaliśmy jeszcze wówczas na Podolu Rosyjskiem. W tym bogatym kraju, zwanym „mlekiem i miodem płynącym". Może to i przesada, ale w każdym razie słynącym z najrodzajniejszej, czarnej gleby, i najpiękniejszych zórz porannych. Sławne mieliśmy również: polowania na dziki, czwórki bałagulskie, służbę na kozłach w strojach kozackich i olbrzymie baranice, czyli grube sukno na futrze z baranów, które miało za zadanie chronić nas właśnie przed tą grypą.

Okrywało się szczelnie taką „baranicą" nogi, w głębokich niskich saniach prawie że przedpotopowej konstrukcji. Wyobraźcie sobie te sanie, jak wielki wóz cygański spotykany jeszcze czasami na drogach mazowieckich, ale nie na kołach naturalnie, tylko osadzony na długich drewnianych łyżwach, okutych w żelazo.

W ów pamiętny tydzień mego życia, wybraliśmy się, to znaczy: Mama, Mademoiselle, moje młodsze rodzeństwo i ja, na egzaminy mojej siostry do gubernjalnego miasteczka, Kamieńca-Podolskiego.

Dziś, niestety, ta miła miejscowość słynna w historji naszej z tragicznych przeżyć Wołodyjowskiego i Basi, leży na terenie Rosji, w jarzmie bolszewickiem. Wtedy jednak, kiedy Podole było ośrodkiem polskości na Kresach, była to nasza mała stolica, miejsce kulturalnych rozrywek i centrum nauki. Tam brat mój starszy kończył gimnazjum, tam siostra moja zdobywała swe pierwsze, celujące stopnie. Kamieniec oddalony był od naszego majątku o siedemdziesiąt kilometrów, po ciężkiej i niewygodnej drodze. Wyjazd więc do niego był całą wyprawą. Zajeżdżały pod ganek takie właśnie nadnaturalne sanie, naładowywało się je prowjantami, jakgdybyśmy mieli w tych saniach mieszkać conajmniej tydzień. Z trudem wciągano do nich dwumetrową w kwadracie „baranicę" i wreszcie sadowiła się Mama, w olbrzymiej, czarnej na lisach rotundzie. (Rotunda to taki rodzaj okrycia bez rękawów, używanego u nas na Kresach przy wielkich mrozach, nakładane najczęściej na spodnie futerko z rękawami). Wreszcie przychodziła kolej na nas. Ubrani w długie do pięt futerka, na głowie futrzane czapice, na nogach kamasze, kalosze lub walonki, omotani powierzchu futer, w tak zwany „baszłyk", rodzaj opończy, do której wsuwało się głowę i która krzyżowała się na przodzie pod brodą, przechodziła pod pachami i wiązała się na plecach, literalnie zostawaliśmy wpychani do sań i zajmowaliśmy wyznaczone miejsca.

Droga zawsze była z przygodami.

To koń pośliznął się i upadł, to coś wyleciało z sań i trzeba było stanąć na drodze i szukać, to kozaczek zdrzemnął się na koźle, i wypuścił z rąk olbrzymie pudło z kapeluszami. Pudło takie, zawierało wtedy całego strusia, ogród botaniczny i wiązankę długich stalowych szpilek, podobnych do szpikulców, któremi rzeźnicy warszawscy nadziewają zające.

Dojeżdżaliśmy zwykle do kresu naszej podróży około siódmej wieczorem.

Miasto, położone na wysokiej urwistej skale nad brzegiem rzeki Smotrycza, wyglądało nader malowniczo, oświetlone światłem księżyca i latarniami. Zajeżdżaliśmy naturalnie do pierwszorzędnego hotelu. Takich było dwa, jeden nazywał się Belle-Vue, wymawiane przez mieszkańców i naszą służbę „Bell Wju". Drugi nawet cokolwiek od pierwszego gorszy Grand-Hotel.

Na nasze spotkanie wybiegał żydek „meszures", taki ktoś w rodzaju dzisiejszego numerowego.

Zwyczaj Kresów nakazywał nawet Polakowi, właścicielowi Hotelu, mieć u siebie takiego sprytnego żydka „meszuresa", którego obowiązkiem było znać wszystkie szczegóły z życia naszego ziemiaństwa, kto, gdzie, jak, poco, skąd i dlaczego? Po drewnianych schodach, dość nawet szerokich, wchodziliśmy na piętro i zajmowaliśmy pokój, naturalnie również pierwszorzędny.

Składał się on z małego przedpokoju, saloniku i z alkowy, w której stały dwa łóżka, zasłonięte kotarą.

W salonie musiała być obowiązkowo kanapa, z której zawsze wyłaziły sprężyny, małe „etalissement" z czarnych mebelków, obitych ponsowym pluszem i oleodruk, przedstawiający „Ucztę Nerona" lub portret rodziny Cara.

Stał jeszcze jeden mebel, któremu chcę poświęcić chwilkę wspomnienia. Było to lustro w takichże samych najczęściej czarnych ramach, o dziwnym tonie blado zielonej wody.

Gdy przejezdny gość, chciał zobaczyć z bliska, czy niema naprzykład błota na nosie, to konstatował z przerażeniem, że mu policzki popuchły, jak dwie wielkie bułki, a jeśli przez niebywałą kokieterję, chciał sprawdzić, czy niema zanadto wymiętego ubrania i odsuwał się na parę kroków w tył, dla lepszego punktu obserwacji, to stawał się nagle tak przerażająco długi i wysoki, że wytrzeszczał z przerażenia oczy i wycofywał się najrychlej z tych oględzin, ze strachu, by głową nie wybić dziury w suficie! Ale wracajmy do spraw poważniejszych.

Bawiliśmy już parę dni w Kamieńcu. Ziuta zdawała egzaminy, ale z powodu niedyspozycji niektórych profesorów, okres egzaminacyjny przedłużał się nieznośnie. Mama postanowiła odesłać mnie z braciszkiem i francuską do domu. Na wsi Tatuś został sam, więc czuł się bardzo osamotniony i prosił w listach, żebym choć ja z Jaśkiem, jaknajprędzej wracała. Jaś, najmłodszy z naszej czwórki, pięcioletni chłopczyk, był naszem rodzinnem oczkiem w głowie. Już w Kamieńcu kaszlał i kichał trochę, nie chcąc jednak niepokoić Mamy, zamilczeliśmy o tym fakcie. W powrotnej drodze, na którymś z popasów, jedząc skrzydełko zmarzłego kurczaka, spojrzałam uważnie na dziecko i zauważyłam z prawdziwym niepokojem dziwnie błyszczące oczy i spalone usteczka. Podzieliłem się moją troską z trzęsącą się z zimna francuską.



...zajeżdżaliśmy do pierwszorzędnego hotelu

— Il a peut etre de la fievre — powiedziała mi obojętnie i nasunęła sobie baranicę aż pod sam podbródek.

— Ładna historja. Boże, Boże, jeżeli on ma naprawdę gorączkę? Wracać do Kamieńca niemożliwe, a przywieźć dziecko chore do domu? Co ja będę robić?

Po drodze było miasteczko Zinków, w którem był nasz kościół parafjalny, doktór i apteka. Zastanowiłam się chwilę. Przypuszczałam, że zrobię najrozsądniej zajechawszy wprost z dzieckiem do doktora. Lekarz postawi djagnozę, zapisze odpowiednie środki, a ja następnie będę go leczyć w domu. O ile zaś lekarza nie zastanę, poproszę listownie, by wziął na koszt Tatusia konie i zaraz przyjechał do nas do domu. Przyznacie, że był to krok rozważny, jak na moje piętnaście lat. Jedyny doktór naszego miasteczka, miał w rejonie swoich objazdów kilkanaście rozległych wsi i dworów, więc oczywiście był nieobecny. Zostawiłam list z prośbą o natychmiastowe przybycie i kazałam furmanowi spieszyć do domu. Na nasze spotkanie, wybiegł Tatuś stęskniony i szczęśliwy zarazem, że nas już widzi, ale przerażenie jego nie miało granic, gdy mu szepnęłam na ucho, że Jaś jest chory.

Wynieśłyśmy z francuską z sań rozkapryszone maleństwo. Weszłyśmy do domu, główkę miał gorącą jak ogień, mazał się i głośno płakał. Rozbierałam sama Jaśka, bo kurczowo trzymał się mojej szyi. Ojciec stał nad nami zmartwiony i bezradny. Zmierzyliśmy gorączkę: miał 38 z kreskami. Co robić? Czekać na lekarza zdawało się rzeczą logiczną, ale nasi wiejscy eskulapi nie należą do bardzo gorliwych i o ile taki Pan odbył już w tym samym dniu, kilkanaście kilometrów na trzęsącej bryczuszce, mała była nadzieja, żeby się jeszcze raz zechciał fatygować, tembardziej w nocy. Zresztą mógł i zbagatelizować mój list i przyjechać dopiero jutro rano. Trzeba było dawać sobie rady samej.

— Tatusiu — rzekłam zdecydowanym głosem dorosłej osoby — Musimy dać Jaśkowi na przeczyszczenie, bo nie zachodzi chyba obawa zapalenia ślepej kiszki, tylko jest najwidoczniej zaziębiony. Wytrę go terpentyną. Zobaczymy, co będzie jutro.

Na przeczyszczenie dawał sam Tatuś osobiście. To była prawdziwa heca. Ojciec z niebywałym zaparciem siebie, próbował olej rycinowy, tłomaczył malcowi, że nigdy w życiu nic lepszego nie jadł, obiecywał kucyka i prawdziwą strzelbę, prosił, groził, nic nie pomogło.

Wreszcie zaczęłam próbować mojej dyplomacji. Skutek był znikomy. Ale kiedy mu obiecałam solennie, że dostanie mojego mopsa z prawdziwej sierści, którego dawniej dostałam od Ojca z wystawy Paryskiej 1900 roku, zdecydował się i wypił to wstrętne lekarstwo.

Dzieci dzisiejsze, łykające wszystkie smaczne czekoladki i pastylki czyszczące, nie mają pojęcia nawet o tem, jak my hartowaliśmy naszą wolę, łykając przez posłuszeństwo nieprawdopodobne obrzydliwości. Na wielkim zegarze w oddali wybiła dziewiąta. Doktora nie było. Zmierzyłam gorączkę: biedny mały miał koło czterdziestu. Ojciec był w rozpaczy. Z największym wysiłkiem wstrzymywałam łzy, gwałtownie cisnące mi się do oczu.

Jaś płakał i skarżył się, że go w plecach boli. Bańki stawały się nieodzowną koniecznością. Ale jak to będzie, kiedy ja przecież w życiu nigdy jeszcze baniek nie stawiałam! Widziałam co prawda, dość często, jak Mama stawiała je Babci, pomagałam nawet niby, ale moja pomoc polegała na trzymaniu kieliszka ze spirytusem, albo podawaniu baniek i na tem koniec. Zmówiłam pacierz. Kazałam służącej podać miednicę z gorącą wodą. Dawniej stawialiśmy je na mokro, to znaczy ocieplone poprzednio w gorącej wodzie. Dziś przeważnie stawia się je na sucho, co jest rzeczą o wiele łatwiejszą. Są jeszcze bańki cięte, które się stawia w wyjątkowych wypadkach, zaordynowane jedynie przez lekarza i przynajmniej felczer powinien je postawić. Nacinają one same i wyciskają krew, z naciętego miejsca, przez co odciągają krew od płuc i osłabiają stan zapalny. Zrobiłam z waty lont, to znaczy na obsadce od pióra nawinęłam trochę waty w ten sposób, aby stworzyć mały pendzelek. Nalałam do miseczki parę kropel spirytusu, prosiłam francuskę, by mi podawała bańki i podeszłam do łóżeczka małego pacjenta. Z trudem udało się nam wytłomaczyć malcowi, że to nie boli. Trzeba było wielkiej uwagi i zręczności, żeby nie upiec maleństwa gorącą bańką, lub co gorsze, nie kapnąć palącym spirytusem na łóżeczko lub ciałko.

Czułam, że ręce mi drżały. Wzięłam pendzelek, umoczyłam go w spirytusie. Zapalił się gwałtownie. Zorjentowałam się, że wciągnął za wielką ilość spirytusu: Zgasiłam go, i zapaliłam powtórnie, umaczawszy zaledwie odrobinę. Ogień był wystarczający. Do lewej ręki wzięłam, bańkę podawaną mi przez francuskę, włożyłam do niej palący się lont, tak głęboko, że aż dotknęłam nim spodu bańki przez to osuszyłam ją z powietrza, i błyskawicznie postawiłam na plecach braciszka. Plecki drgnęły, ale bańka była mocna i trzymała się doskonale. Zabieg ten, powtórzyłam dwadzieścia razy, dziesięć baniek z lewej strony i dziesięć z prawej strony pleców. Skończyłam. Pot spływał mi z czoła.

Ojciec, który kilkakrotnie wchodził do naszego pokoju, tak denerwował się, że zrobię tę operację nieudolnie, że wreszcie zamknął się u siebie, i przez cały już wieczór nie zaglądał do nas.

Odrywałam bańki ostrożnie od plecków, poprzednio naciskając wskazującym palcem ciało koło niej, następnie leciutko natarłam granatowe ślady terpentyną, i ułożyłam malca do snu. Zasnął ciężkim gorączkowym snem.

Całą noc przesiedziałam przy białem łóżeczku. Dotykałam główki nasuwałam kołderkę poprawiałam poduszki. Tak zastał mnie świt.

O siódmej wszedł do dziecinnego pokoju Tatuś, spojrzał na Jasia.

Dziecko wyglądało bledziutko, ale wesoło. Zmierzyliśmy gorączkę.

Zwykle temperatura mierzy się dziesięć minut, mnie ten krótki okres czasu wydawał się godziną. Trzymałam lewą rączkę maleństwa na jego prawym ramieniu i opowiadałam bajkę „O. Tomciu Paluszku".

Wreszcie dziesięć minut minęło. Termometr wskazywał 37.5. Gorączka spadła, Jaś miał się lepiej. Rzuciłam się Ojcu na szyję. Oddał mi serdecznie pocałunek.

Widziałam jak chustką wycierał binokle.

Taka była historja moich pierwszych baniek.

Em. z Buszy.

NARÓD, KTÓRYM RZĄDZĄ KOBIETY

Na wyspach Bissagos, u brzegów Afryki Południowej, żyje dziwny naród, rządzony przez kobiety.

Mieszkańcy wysp Bissagos należą do szczepu Bijogo i zajmują się przeważnie rolnictwem i rybołówstwem. Kobiety odgrywają tam główną rolę: są szefami rodzin, zasiadają w rządzie, administrują miniaturowem „państewkiem", podczas gdy mężczyźni zajmują się uprawą roli i gospodarstwem domowem.

Kobiety z Bissagos wybierają sobie same mężów i to w dosyć zabawny sposób. Mianowicie dziewczyna stawia przed domem wybranego młodzieńca miskę z ryżem, co oznacza, że stara się o jego rękę. Po paru dniach, jeżeli młody człowiek znajdzie powtórnie przed swym domem ryż, uważa się za prawowitego męża i sprowadza z całym dobytkiem do chaty swej damy. Jeżeli młodzieniec „odmówi swej ręki" — wszystkie amazonki w Bissagos okazują mu swą niełaskę tak, że biedny młody człowiek, zgnębiony, rzuca rodzinne wyspy, aby uciec jaknajdalej od mściwych „kierowników państwa".

KRAINA ZAKAZANA DLA KOBIET.

Krainą tą jest góra Athos w Grecji— państwie klasztorów. Kobietom jest tam wstęp wzbroniony — i nietylko kobietom, ale i wszelkim stworzeniom płci żeńskiej. Nawet jakaś mała kotka, która sprytnie się przemyci na zakazane terytorjum — zostaje bezlitośnie wypędzona. Niedawno władze klasztorne zwróciły się do gubernatora z prośbą o uśmiercenie wszystkich kur na półwyspie, jednakże gubernator uznał to żądanie za przesadne i nie uwzględnił go.

KSIĘŻNICZKI NA WYDANIU.

Czy to nie przypomina bajki? — królewna oczekuje królewicza, który zjawi się, niewiadomo skąd, aby ją pojąć za żonę. Takich oczekujących na świecie prawdziwych „królewien" jest obecnie w Europie już tylko dziewięć, a więc — dwie córki zdetronizowanego króla hiszpańskiego, Alfonsa XIII, trzy księżniczki duńskie: Teodora, Karolina i Ludwika, włoska księżniczka Marja, Szwedzka Ingrid, bułgarska Eudoksja i wreszcie Juljana, dziedziczka tronu holenderskiego.

Wszystkie księżniczki są bardzo młode, nie przekraczają bowiem 23 lat, wyjątek stanowi bułgarska księżniczka Eudoksja, która ma już przeszło trzydzieści. Księżniczki północne są wychowane b. demokratycznie. — ks. Juljana, która niedawno ukończyła studja na uniwersytecie w Leydzie, uczęszczała na wykłady tak, jak i inni studenci, nie różniąc się wychowaniem i trybem życia od swych kolegów i koleżanek. Nic też dziwnego, że ks. Juljana jest niezwykle popularna w swoim kraju, zwłaszcza zaś wśród swych poddanych - rówieśników.

Księżniczki duńskie odebrały wychowanie bardzo praktyczne — jedna z nich studjowała sztukę fotograficzną w dużym zakładzie fotograficznym w Kopenhadze, druga zaś ukończyła kursa pielęgniarskie w jednym ze stołecznych szpitali.

Szwedzka księżniczka Ingrid jest panną nowoczesną — b. wykształconą, włada kilkoma językami, interesują ją sztuki piękne, literatura, malarstwo, muzyka. Pozatem uprawia z zamiłowaniem prawie wszystkie sporty, — specjalnie lubi prowadzić swój mały samochód, w którym często ją widzą mieszkańcy Sztokholmu. Ks. Ingrid jest jedyną córką następcy tronu szwedzkiego, który posiada jeszcze prócz niej dwuch synów.

Najmłodszą ze wszystkich księżniczek, jest 17-letnia ks. Marja, ostatnia córka króla włoskiego. Ks. Marja kończy teraz swoje studja i dopiero za parę miesięcy zacznie „bywać w świecie". Dotąd nie pokazywała się nigdzie z powodu swego młodego wieku, czas spędzała wśród rodziny i rówieśniczek.

Jaki los czeka te wszystkie piękne i miłe księżniczki? Czy doczekają się królewiczów z bajki? Czy może pójdą za przykładem angielskiej królewny Mary, i nie będą szukać mężów wśród królów, a wybiorą ich sobie z pośród swych poddanych?

Zobaczymy. W każdym razie, życzymy im szczęścia — są takie ładne!



POZDROWIENIE OD NAJPIĘKNIEJSZEJ ARMJI

Te piękne dziewczęta, które widzimy na zdjęciu, należą do świeżebnego oddziału szkoły oficerskiej, znajdującej się w Pasadena (Kalifornja).

Młode amazonki wojskowym gestem pozdrawiają komisję, która przybyła na wizytację do ich szkoły.



MORZE



...świeży połów błyszczy srebrem w sieciach.

Jeżeli stanąć nocą na wysokim urwisku Kamiennej Góry w Gdyni i spojrzeć w stronę portu, tysiące świateł, szeroko rozsypane mrowie leketrycznych iskier pali się w ciemności, która okrywa niebo, morze i ląd.

Jeżeli patrzeć w tę stronę w dzień, widać pod niebem, zasnutem gdzieniegdzie przez dymy okrętów—czarne rusztowania dźwigarów portowych, żelazne konstrukcje, bloki wielu nowych domów stłoczonych na bulwarach i wzgórzach, spokojną wodę basenów i doków i ogromny zamęt pospiesznej roboty.

— A dwadzieścia lat temu stało na miejscu tego gwarnego zabudowanego miasta kilka niziutkich domków rybackich, była to wieś zwana przez Niemców „Gdingen", gdzie niewielu małomównych „Kaszebów" żyło z połowu śledzi, węgorzy i flonder. Jeżeli stanąć na niedługim pomoście Helu, widać jak muskularne szare pancerniki polskie, prują niebieskie wody Małego Morza, jak kołysze się w oddali skrzydlaty żaglowiec szkolny „Lwów", a białe parowce Polskiej Żeglugi wyrzucają co godzina nową partję roześmianych, opalonych letników między małe holenderskie domki wsi, ciemne i schludne.

— Dwadzieścia lat temu tylko raz na dzień przybijał do tego brzegu gdański statek, przywożąc listy i prowjant dla tych, którzy odważyli się tu zamieszkać wśród głuszy i niemieckich rybaków, karmiąc się wędzoną rybą i nadsłuchając w nocy głuchego wycia wiatru.



... fale Bałtyku

Jeżeli stanąć pod białym słupem latarni morskiej w Rozewiu widać w oddali na granatowej lub zielonej, wzburzonej przestrzeni fal zamorskie statki, które płyną ku Gdyni, wlokąc za sobą warkocze dymów. Za nami na gładkiej błyszczącej szosie biegną tymczasem auta ku białym rozrzuconym na brzegu domom i willlom Jastrzębiej Góry i Hallerowa.

— Dwadzieścia lat temu jaskrawe światło tej wielkiej latarni morskiej nie oświecało nocą żadnych prawie domów i żadnych aut. Urwisty zarosły, bujny i dziki brzeg leżał samotnie w huku wzburzonych bałwanów i ostrym zapachu słonej wody i zielonych drzew nadbrzeżnych.

Dwadzieścia lat temu, taksamo jak i dziś, miasteczko Puck żyło monotonnie i ospale nad płytką zamuloną wodą zatoki, ze swemi staremi domkami o spiczastych dachach, wędzarniami ryb morskich, niemieckiemi, brzydkiemi kamieniczkami na czystym rynku i wysoką gotycką farą z czerwonej cegły.

— Ale trzysta lat temu płynął ku temu miastu z Gdańska w sześć okrętów Pan Hetman Koniecpolski, by je wydrzeć z pod panowania Szwedów, ale trzysta lat temu, obwarowany, ze swym obronnym arsenałem i „armatą wodną", składającą się z dwunastu okrętów, był Puck największym, niezdobytym portem Rzeczypospolitej polskiej.

Dwadzieścia lat temu, taksamo jak dziś, wieś kaszubska Chałupy — Cejnowo ze swemi staremi drewnianemi domami leżała wśród płowych piachów pastwisk i lasków na najwęższym przesmyku helskiego półwyspu między dwoma morzami.

— A trzysta lat temu wznosiły się na tym miejscu obronne forty, w miejscu, gdzie morze wąską cieśniną przerywało ląd Helu. Warownie morskie, groźne szańce: Władysławowo i Kazimierzowo wybudował tu król Władysław IV-ty dla obrony polskiego wybrzeża.

Dwadzieścia lat temu, taksamo jak i dziś, mała nędzna wioska rybacka Rzucewa rozciągała się u stóp puckiej kępy niedaleko ujścia błotnistej Redy, a Kolibki koło Orłowa były tylko małym folwarkiem.

A dwieściepięćdziesiąt lat temu król Jan III mieszkał w starym pałacu Rzucewskim, pobudowanym przez wojewodę Wejhera i sadził lipy w alei, idącej

...urwisty, zarosły, dziki brzeg





...na niedługim pomoście na Helu...



...teraz państwo polskie wznosi gmachy swego panowania na bulwarach portu

w stronę Osłonina, a królowa Marysieńka kąpała się w szafirowych falach morza u stóp wzgórz porosłych bukowym lasem, w dzisiejszym Orłowie.

Dwieście i trzysta lat temu, tak jak i dzisiaj, panowała na tych nadwodnych urwiskach i błotach, stromych zboczach, sosnowych lasach, wrzosowiskach, torfowiskach i piachach — Rzeczpospolita Polska, a pięćset lat temu, taksamo jak i przed laty dwudziestu — niemiecka przemoc Krzyżaków wznosiła czerwone wieże kościołów i gnębiła słowiańskiego rybaka.

Przyszli tu Niemcy i Szwedzi i zostali wyparci przed laty, powrócili tu Niemcy, by panować srogo i umiejętnie, a teraz znowu nie oni sprawują rządy. Coraz kto inny z biegiem lat budował domy i zamki, morskie latarnie i nadmorskie drogi.

Teraz państwo polskie wznosi gmachy swego panowania na bulwarach gdyńskiego portu, umacnia brzegi, pogłębia dno, wznosi twarde zapory: mola, falochrony przeciwko groźnej sile morza i złym zamiarom nieżyczliwego sąsiada. Teraz my dla odmiany zanurzamy się w gorzko-słone granatowe fale Bałtyku, które widziały północnych wikingów i krzyżackich rycerzy, żeglarzy króla Władysława i hakatystów pruskich, księcia Mestwina i królową Marję Kazimierę. Opaleni, półnadzy, zanurzamy się w płynny przezroczy kryształ wody, zwichrzony po wierzchu pianą. Biegamy po wylizanym przez fale piachu plaży. Wdrapujemy się na zarosłe pachnące zbocza wzgórz nadmorskich, albo wędrujemy pośród poskręcanych rudych sosen Helu.

Czasy, kiedy Gdynia była małą wioską rybacką i nazywała się Gdingen, gdy Puck nazywał się Putzig, a Wejherowo—Neustadt, wydają nam się tak niezrozumiałe i odległe, jak czasy krzyżackich komturów, lub wojewody Wejhera.

Nie myślimy także jeszcze o przyszłości i o tych pracach i walkach, któi walkach, które przyjdzie nam dokonać i stoczyć w imię rozwoju, bezpieczeństwa i polskości Pomorza.

Teraz wystarcza nam dzisiejszy dzień powszedni: zakopcony statek transatlantycki, który właśnie dziś przybył z Ameryki do portowego basenu, i ładowany węglem pociąg nowej drogi żelaznej, łączącej Katowice z Gdynią. Łuszczarnia ryżu i stosy heblowanych desek, sprawna praca maszyn portowych i gwizd syren, białe ściany ślicznych, ogromnych, budujących się gmachów, lśniące szosy i nowa kolej żelazna na Helu, latarnie morskie i neonowe światła reklam w Gdyni. Cudzoziemski gwar obcych marynarzy i polski gwar rozbawionych letników. Głucha przeciągła piosenka kaszubskiego rybaka i modna taneczna piosenka orkiestry na molo. Świeży obfity połów, błyszczący srebrem w sieciach, i białe skrzydła mew, migające nad wzburzoną ciemną wodą. Morze niebieskie, szafirowe, szare, wzburzone, ciche... Czy to nie wystarczy? *Hanna Mortkowiczówna*

KĄCIK HARCERSKI

Międzynarodowy obóz skautowy. W okolicach Hagi „De Naderlandsche Padrinwers" organizuje obóz międzynarodowy od 2 do 12 sierpnia 1933 r.

Czarna 13 wileńska. Wybiera się na Zlot narodowy skautów w Estonji, który odbędzie się w lipcu, w okolicach Tullinu.

Apel morza. Harcerskie drużyny żeglarskie w rocznicę odzyskania przez Polskę dostępu do morza zorganizowały „Apel morza". W tym dniu nietylko drużyny żeglarskie, ale wszyscy harcerze zwrócili się twarzą do Bałtyku, nietylko harcerze, ale cały naród frontem stanął do fal morskich, bo morze już stało się jego potrzebą. Oddech morza stał się oddechem narodu, jego „być albo nie być". Morza pozbawić nas mogą chyba wraz z życiem.

...godzien poparcia. Komenda Chorągwi Żeńskiej Wołyń wydała odezwę do samotnych ...ercrs.. Cel odezwy: skupienie i nawiązanie kontaktu z osamotnionemi harcerkami, wzaje...na pomoc, wymiana myśli i t. d. Adresować: Anna Jadwiga Trylska, Białokrynica, powiat Krzemieniec, Szkoła Rolnicza.

Narciarstwo wśród żeńskich drużyn harcerskich cieszy się coraz większym powodzeniem w Warszawie, Krakowie i we Lwowie. G. K. Ż. w Rozłuczu (zdobyto 1 złotą, 5 srebrnych i 27 bronzowych odznak sportowych Polskiego Związku Narciarskiego; 10 uczestniczek uzyskało stopień przodowniczek narciarskich i 24 stopień narciarek). Kursy narciarskie były jeszcze w Zwardoniu i w Truchli.

Chorągiew Wielkopolska. Komisja Złotowa. Rozpoczęto prace przygotowawcze do Zlotu Chorągwi Poznańskiej z okazji 20-lecia Harcerstwa Wielkopolskiego.

Uratowanie życia. Druh Malinowski, uczeń II klasy gimnazjum (lat 12) narażając własne życie, uratował od utonięcia dwoje dzieci, które wpadły pod lód. Chlubą jest dh. Malinowski dla III-ciej Drużyny Harcerskiej im. Bolesława Chrobrego w Kościanie.

Kościana. — Hufiec żeński urządził własnemi siłami bazar gwiazdkowy. Wszystkie prace były wykonane przez harcerki.

Gniezno. W okresie świąt harcerki nie zapomniały o dzieciach bezrobotnych, dnia 27 grudnia z. r. urządziły choinkę i koncert orkiestry harcerskiej. Po zabawie dzieci bezrobotnych spożyły przygotowany podwieczorek i obdarzone zabawkami własnego wyrobu harcerek poszły do domu. Godne naśladowania.

Chorągiew Śląska. W Dąbrowie Górniczej nowopowstała 60 Druzyna im. T. Kościuszki w dn. 9 stycznia b. r. zorganizowała choinkę. Choinka została urozmaicona efektownemi tańcami druhen w kostjumach jaskółek.

Chorągiew Lwowska. Żeńskie harcerstwo lwowskie wraz z innemi instytucjami harcerskiemi otrzymało dzięki staraniom gen. Popowicza, siedzibę w budynkach wojskowych ul. św. Jacka 1.

Ze Stanisławowa donoszą nam, że tam przez pewien czas grasowała epidemja Opłatka harcerskiego. Wypadków śmiertelnych nie było. Jeden wypadek przejedzenia (zresztą wilczka i to bez stopnia). Koszta epidemji były znaczne, które pokaźnie zasiliły kasy miejscowych drużyn.

M. Kostrzewa.

CO MOGĘ ZROBIĆ SAMA

ŚWIETLICE I IZBY HARCERSKIE.

Izby i świetlice mają zawsze pewien charakter trochę sztywny i trochę nieprzytulny, najczęściej z powodu braku sprzętów, gdyż urządzającym daje się stale we znaki brak odpowiednich funduszów. To też osoby związane z izbą czy świetlicą, przerażone pustemi ścianami, starają się za wszelką cenę (właściwie za tanią cenę) nadać jej trochę przytulności. Idą więc po tej samej linji, jaką stosują chcąc nadać tę przytulność każdemu prywatnemu pokojowi, t. zn. tu wieszają obrazek, tu fotografję, tu małą makatkę, tu firaneczkę, tu wycinankę, stół przykrywają kilimkiem (koniecznie pasiakiem łowickim). Gotowe. Do tego należy dodać jeszcze portrety: Prezydenta i Marszałka, a w izbie harcerskiej jeszcze patrona drużyny — oto w ogólnych zarysach urządzenie 9 na 10 świetlic.

Zdobienie jest nudne, a jednak wszyscy to ciągle powtarzają, a jeżeli się różnią — to w drobnych szczegółach zaledwie.

Zastanówmy się dlaczego to jest źle, nudne i zawsze sprawia wrażenie tandety.

Zło zaczyna się od tego, że niewłaściwie ujmujemy w dekorowaniu charakter świetlicy.

Jako wnętrze, służące do ogólnego użytku i niemieszkalne, świetlica powinna mieć charakter raczej monumentalny, śmiały, mocny, niż przytulny i wdzięczny.

Tymczasem te wszystkie drobiazgi i ozdóbki stosowane nagół i gromadzone z zapałem aż do przeładowania, stwarzają właśnie ten charakter, który nazywa się pensjonarskim, choć bardzo niesłusznie, bo chłopcy w sprawie dekoracji objawiają jeszcze więcej drobiazgowości i pretensjonalności, niż dziewczęta.

Obowiązkową też cechą świetlicy powinna być prostota, podczas, gdy bardzo często wyroby młodzieży, które służą do ozdoby noszą cechy sztuczności. Te ramki z kory czy gałązek, te orły, układane z przedmiotów zupełnie do tego nie przeznaczonych — wszystko to czem często chlubi się pomysłowość harcerska — to najczęściej nietylko niema wartości artystycznej, ale przeciwnie ma wartość ujemną i może służyć za okazy, czego robić nie należy.

Budzi to oczywiście podziw i zachwyt zwiedzających świetlicę, ale jeśli zanalizujemy powstanie tego podziwu — zobaczymy, że niema czem cieszyć się ani przejmować!

Oto jak się sprawa przedstawia: przychodzi do izby czy świetlicy zwiedzający, zazwyczaj bardzo życzliwie nastrojony i widzi jakąś ozdobę tak dziwaczną i wykonaną z materjału tak wybitnie nie nadającego się do tego celu, jak tylko sobie można wyobrazić. Zdaje sobie sprawę, że sam nigdyby nie wpadł na podobny pomysł. Teraz, jak mówi anegdotka, są dwie ewentualności. Albo ten ktoś, jak to jest u nas powszechnie, nie posiada poczucia artystycznego i kultury pod tym względem, wskutek czego myli pojęcia sztuka i sztuczność oraz zdziwienie i podziw — w tym wypadku mówi: „jakie to artystyczne"; albo, jeśli zna się na tem i widzi całe dziwactwo oglądanego okazu, mówi przez grzeczność, żeby nie robić gospodarzowi przykrości: „jakie to oryginalne".

No, ale dosyć już nakrytykowałam, przejdźmy do wskazówek pozytywnych.

Pierwsza będzie: nie bać się pustej ściany, i nie pstrzyć jej drobiazgami. Druga: unikać nadzwyczajności i sztuczności w ozdobach. Trzecia: zarzucić pseudo-ludowość. Te wszystkie okazy ludowości, jakie widziałam w świetlicach to popieranie szkodliwej akcji: tandeciarskiego przemysłu, żerującego na dobrej woli ludzi, nie rozumiejących i nie znających prawdziwej sztuki ludowej.

Do tego zaliczam: pasiaki łowickie, obecnie wyrabiane przez fabryczki, które produkując tańszy, choć lichszy towar, zabiły wytwórczość ludowych, ręcznych warsztatów; rzeźbione z drzewa dziewięćsiły, litografowane wycinanki i sceny ludowe. Nie mówię już nawet o grzechu głównym wobec sztuki ludowej i zasadom estetyki, jak imitacja pasiaka łowickiego z pasków sklejanego kolorowego papieru, choć niestety i takie rzeczy spotykałam.

Choćbyśmy jednak wyjątkowo posiadali autentyczny, muzealnej wartości wełniak (pasiak) ze spódnicy czy zapaski, to jeszcze nie należy wieszać go na ścianie ani rozkładać na stole. Bowiem wzór pasiaka, tak pięknie i żywo wyglądający w fałdach suto marszczonej spódnicy staje się sztywny, nudny i rażąco-surowy w barwach, jeśli go rozciągnąć naplask.

Jeżeli potrzebne nam ludowe tkaniny na stół czy na ścianę dobierzmy takie, które lud komponował odrazu z myślą używania ich na pokrycia. Będą to przedewszystkiem tkaniny lniane, t. zw. wileńskie czy nowogródzkie, tańsze od pasiaka, a rzeczywiście ładne.

Można je kupować na rynkach i po chatach na całych obszarach północno-wschodnich ziem, a w Warszawie w sklepie Tow. Popierania Przemysłu Ludowego.

Warszawa ma pozatem inne źródło tkanin ludowych, tanich i ładnych. Widzieliście pewno nieraz na ulicach kobiety (rzadziej mężczyzn) z tobołkiem na plecach i zwojem kolorowego chodnika w rękach. To kurpie. Mają oni bardzo ciekawe swoje tkaniny w formie kap i chustek, a nawet robione na metry. Jest to rodzaj barwnej kraty, o żywych kolorach: czerwono - szafirowym lub czerwono-zielonym. Rzadziej spotyka się (w szlaku na kapie) domieszkę innych kolorów, np. żółtego.

Kurpie mają na sprzedaż również zielone pasiaki łowickie. Jest to żywy przykład, jak zły i zabójczy wpływ na twórczość ludową ma ignorancja publiczności: osoby nie znające się na tem żądają od nich pasiaków, zaczęli więc je tkać, naśladując to, co najczęściej widzieli, t. zn. tandetną produkcję fabryczną.

Jeżeli chcemy użyć tkaniny do dekoracji ścian, to nie wieszajmy małych kawałków w formie ręczników, bo to jedynie może być dobre w prywatnych, niedużych pokojach.

Tkanina musi mieć jakiś cel na ścianie. Albo pokrywa ścianę, aby uchronić ją od zniszczenia przez opieranie się, albo ma zadania dekoracyjne. W umieszczaniu jej z podziałem trzeba się liczyć z podziałem architektonicznym i z meblami. Dajemy ją więc przez całą szerokość ściany czy jej odcinka określonego przez architekturę: np. od okna do okna, od drzwi do rogu pokoju i t. p. Jeśli ma przykrywać ścianę, pod którą nieraz się stoi, wtedy wiemy, że ścianę tę trzeba zabezpieczyć od rąk, nóg i pleców — tkaninę musimy zeszyć, bo będzie z pewnością wąska i dać jej od ziemi do wys. 160 cm. Jeśli umieszczamy ją nad ławą czy stołkami — wystarczy dać ją od siedzenia stołka do wysokości głowy siedzącego człowieka.

Można też użyć tkaniny na ścianę aby, silniej związać dekoracyjnie jakąś grupę przedmiotów np. portrety. Wtedy trzeba uważać, aby barwy jej nie kłóciły się z portretami lub ornament nie gasił ich sobą. Tkaniny rozwieszane na dużej przestrzeni dobrze jest przymocować na górnym brzegu drewnianą listewką (20 gr. metr) własnoręcznie pobejcowaną na ciemny kolor.

Po tkaninach bardzo rozpowszechnionym motywem dekoracyjnym są wycinanki. Znowu trzeba stwierdzić, że w izbach i świetlicach znajduje się nagół to, co najgorszego może być w tej dziedzinie. Kupuje się lub kopjuje bardzo skomplikowane wzory, wyrabiane niewiadomo przez kogo lub litografowane i będące tylko bardzo dalekiem i zupełnie spaczonem echem sztuki ludowej.

Ponieważ wycinanka jest rzeczą łatwą do wykonania i dobrze ujęta, może być użyta do dekoracji świetlicy, poświęcamy temu osobny artykuł.

Trzecim spotykanym środkiem zdobienia są zdjęcia. Zasadniczo fotografja tylko w wyjątkowych okolicznościach i wyjątkowo piękna ma prawo obywatelskie na ścianie. To samo tyczy się reprodukcji. Wszystkie te rzeczy nie powinny być przypinane pluskiewkami do ściany, ale grupowane tak, aby podporządkowały się jakiemuś ogólnemu planowi w zdobieniu świetlicy. Mogą np., naklejone na passe-partout tworzyć pas na ścianie, tak jak tkaniny podporządkowując się architektonicznemu podziałowi pokoju. Przy naklejaniu ich w grupach na passe-partout, nie można z nich robić wachlarzyków, ani naklejać bezładnie w różnych kierunkach, ani robić rysunków między zdjęciami — wszystko to tandeta.

Wogóle trzeba pamiętać o kilku zasadach: 1) że powieszenie czegoś na ścianie nie jest jednoznaczne z ozdobieniem jej, 2) że niezwykłość pomysłu i materjału nie stanowi o artystycznej wartości; 3) że całość wnętrza nie powinna wypadać, jako niespodzianka z zestawienia szczegółów, ale szczegóły muszą być umieszczane z myślą o całości, inaczej wynik będzie ujemny, choćby szczegóły były dobre, 4) że dekoracja świetlicy musi dążyć do uzyskania zupełnie innego wyrazu, niż pokoje mieszkalne, musi więc być śmiała, mocna i prosta, nie rozdrabniająca się w wdzięcznych szczególikach.

Pamiętając o tem o siągniemy dobre wyniki bez względu na to, czy do dekoracji będziemy używali tkaniny czy papier pakowy, czy falistą tekturę, czy wycinanki czy pocztówki, czy fotografje.

J. Ładzianka



Zabawa dziewczynek w świetlicy Koła Polek w Warszawie.

SPORT



Król Gustaw i nasi tennisiści.

JĘDRZEJOWSKA RATUJE HONOR TENISU POLSKIEGO W SKANDYNAWJI.

Nasi czołowi tenisiści: Jędrzejowska, Tłoczyński i Wittman udali się niedawno na zaproszenie gościnnych Szwedów — do Sztockholmu, aby tam rozegrać mecz ze znakomitym klubem A. I. K.

Długą podróż przebyli nasi zawodnicy szczęśliwie, jedynie podczas przeprawy przez morze mieli trochę kłopotu z Jadzią Jędrzejowską, na której wątpliwa przyjemność parogodzinnego chuśtania się po falach, wywarła dość silne wrażenie.

W Sztokholmie powitała naszych zawodników spora gromadka tenisistów i dziennikarzy szwedzkich z niezmordowanym inicjatorem zbliżenia polsko-szwedzkiego na polu sportowem, p. dyr. Brodatym na czele.

Jeszcze tego samego dnia udali się Polacy na pierwszy trening do krytej hali zimowej, gdzie miało się odbyć spotkanie. Po pół godzinie, najzupełniej nieoczekiwanie zjawił się na korcie król szwedzki Gustaw w stroju tenisowym i zaproponował naszym graczom wspólny trening. Nie trzeba dodawać, z jaką radością przyjęli oni tę propozycję, będącą przecież nie bylejakim zaszczytem.

Olbrzymi król Gustaw, mimo swych 75 lat wieku oddaje się sportowi tenisowemu dzisiaj z równą namiętnością, jak i za czasów swojej młodości. Król staje, oczywiście, tylko do gry podwójnej, gdzie związany z wiekiem brak ruchliwości nie daje się tak bardzo odczuć. Prawie co roku, w czasie wielkich turniejów tenisowych przyjeżdża na Riwierę, a pierwsze rakiety świata ubiegają się o zaszczyt rozegrania z nim chociażby kilku gemów na treningu.

Uprzejmość Polaków wywarła na królu dobre wrażenie, wpadł on w znakomity humor i po grze spędził z nimi dłuższą chwilę na miłej pogawędce. Jadzia ma zawsze ze sobą album (na „wszelki wypadek"), do którego wyłapuje autografy różnych słynnych tenisistów. Król Gustaw nie odmówił Jadzi tej przyjemności i wpisał się także. Cenna zdobycz napełniła naszą mistrzynię taką radością, że aż skakała z uciechy.

Rozgrywka na drewnianym korcie.



Kiedy następnego dnia rozpoczęło się oficjalne spotkanie, odrazu wyszło na jaw wielkie nieprzygotowanie naszych zawodników do gry na drewnianym korcie, gdzie odbicie piłki jest zupełnie inne, daleko szybsze i bardziej wysokie, niż normalnie. Tłoczyński i Wittman dali ze siebie wszystko, na nic, jednak nie zdała się ich ambicja i niewątpliwie zresztą umiejętności. Olbrzymi, choć młodziutki Schroeder pobił ich obu, a Sederstroem uległ tylko Tłoczyńskiemu. Grę podwójną także wygrali Szwedzi.

Honor barw polskich uratowała Jędrzejowska. Już po kilku pierwszych piłkach ze Szwedką Cederholm, jej zwycięstwo nie mogło ulegać wątpliwości.

Silne „drajwy" naszej mistrzyni aż gwiżdżą w powietrzu, a Cederholm jest zupełnie bezradna. W dziesięć minut jest już po wszystkiem — 6 : 2, 6 : 2.

Podobnie szybko załatwiła się Jędrzejowska z panną Thomason, która nie była dla niej godną przeciwniczką. O remisowym rezultacie całej wyprawy (4:4) zadecydował mecz w grze mięszanej.

Ze strony polskiej wyszli na kort Jędrzejowska i Tłoczyński, a naprzeciw nim stanęli Szwedzi Thomason i Schroeder. Po pierwszych, niefortunnych gemach, nasi rozegrali się znakomicie. Jędrzejowska wzniosła się do szczytów swojej formy; jej pełne temperamentu zagrania zadecydowały ostatecznie o zwycięstwie, odniesionem z najwyższym jedynie trudem.

W drodze powrotnej tenisiści nasi zawitali do Kopenhagi, aby rozegrać jeszcze jedno spotkanie ze słynnymi zawodnikami duńskimi.

Nasi panowie schylić musieli czoła przed umiejętnością Duńczyków, przegrywając wszystkie cztery gry pojedyńcze, a także i grę podwójną.

I znowu, jak poprzednio, cały ciężar obrony naszego honoru przypadł Jędrzejowskiej. Uporała się ona łatwo z grającą lewą ręką panią Damm (6 : 1, 6 : 2), mimo odnowienia się cierpień zwichniętej i źle wyleczonej nogi. W grze mięszanej wraz z Tłoczyńskim pokonała parę Pio — Olecrup równie gładko (6 : 1, 6 : 2), grając poprostu bezbłędnie.

Z panną Pio miała już cięższy orzech do zgryzienia. Jadzia grała już tylko z największym wysiłkiem, kulejąc i utykając na chorą nogę. Godna podziwu ambicja pozwoliła jej wkońcu przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. W ten sposób zakończyła swoje występy nasza mistrzyni, zdobywając 6 kolejnych zwycięstw i ani razu nie dając się pobić.

Jędrzejowska jest talentem tenisowym niezwykłej wielkości. Wszyscy najwięksi znawcy przepowiadają jej wielką przyszłość, zarzucali jej dotąd tylko wielką nierówność usposobienia i brak ambicji. Nierówne usposobienie Jadzi, przynoszące jej tyle przykrych zawodów, zdaje się ulegać teraz znacznej poprawie. Podczas wyprawy do Skandynawji wykazała niespotykaną w niej dotąd ambicję i wolę zwycięstwa, co łącznie z jej wielkim talentem, powinno w przyszłości zapewnić Polsce nie jeden wspaniały sukces.

Wojciech Trojanowski



Jędrzejowska odbija piłkę.



Dawny strój tennisowy.

GWIAZDY MÓWIĄ...

Wywiad z Karoliną Lubieńską.

Drzwi otwiera młody, może czternastoletni chłopiec o bardzo jasnych włosach i ciemnych oczach. W miłej jego, troszkę zakłopotanej twarzy dostrzec można nieuchwytne podobieństwo do naszej ślicznej gwiazdy. Woła w kierunku otwartych drzwi: — Lalu, do ciebie — i przez obszerny, staroświecki stołowy wprowadza do wielkiego, całego w błękitno-szarych i złotych tonach pokoju.

Karolina Lubieńska u siebie w domu jest zupełnie podobna do tej, którą znamy z „Dziesięciu z Pawiaka". Wysoka, szczupła, jasnowłosa dziewczynka, w skromnej, czarnej, wełnianej sukience. Uśmiechnięta twarz, miły głos, lekkie, wdzięczne ruchy. Wdzięk zresztą jest atrybutem nieodłącznym Karoliny Lubieńskiej; ujawnia się w każdym słowie, a przedewszystkiem zaś w szczerym, bezpretensjonalnym uśmiechu. A wrażenie ogólne: miły, prosty, skromny człowiek.

Otóż właśnie skromny; zazwyczaj z pojęciem warunków życia gwiazdy filmowej, czy teatralnej kojarzy się wyobrażenie jakiegoś niesłychanego luksusu, niespotykanego u zwykłych śmiertelników. Tymczasem tutaj — owszem, bardzo piękny, duży, wygodny, przestronny, pokój, doskonale zharmonizowany z kulturą zamieszkujących go osób, niema w nim jednak żadnego przepychu. Pokój taki mógłby się znaleźć w każdym domu. Posiada charakter raczej męski — wyraźne ustępstwo na rzecz pana małżonka, jest połączeniem wypialni, gabinetu, pokoju do przyjęć. Wygodne meble z różanego drzewa obite są tkaniną doskonale harmonizującą z błękitno-szarem tłem tapet. Olbrzymi tapczan, wielka szafa do książek, biurko, kilka małych stoliczków i wygodnych foteli — oto wszystko. Żadnych fatałaszków, laleczek, zabaweczek — zato dużo prostoty i dobrego smaku.

W jednym z tych wielkich foteli usadawia mnie uprzejma gospodyni, poczem pada z mej strony sakramentalne:

— Co sądzi pani o współczesnych dziewczętach?

— Jest mi dość trudno odpowiedzieć na to pytanie: nie znam ich na tyle, by mogłabym wydawać jakieś sądy. Nie znaczy to, że nie stykam się z nimi: owszem, mam ku temu sposobność chociażby na lekcjach: jestem nauczycielką dykcji w seminarjum nauczycielskiem; pozatem prowadzę kółko dramatyczne przy gimnazjum p. Wereckiej. Na podstawie tych znajomości mogę z całą szczerością powiedzieć, że ogromnie mi się podobają. Są myślące, zastanawiają się nad wieloma sprawami, interesują je kwestje społeczne. Wiele z nich daje lekcje, stara się ulżyć jakoś rodzicom, odczuwającym kryzys. Pozatem mają w sobie dużo zapału, są pełne entuzjazmu, radości życia, wszystko im się podoba, ze wszystkiego są rade, są naprawdę miłe.

Słyszę częstokroć o rozbukaniu, bezmyślności dzisiejszych dziewcząt; myślę, że jest w tem wiele przesady — ja w każdym razie, jak dotychczas, nie spotkałam się z żadnym z tych przejawów; przeciwnie: są mojem zdaniem o wiele mądrzejsze i poważniejsze od tych dawnych dziewcząt, posiadają o wiele bardziej odpowiedzialny stosunek do życia. Tak przynajmniej wywnioskowałam z prowadzonych z niemi rozmów. Zawsze staram się rozmówić z niemi, gdy przychodzą po fotografje. Pytam się, do jakiej chodzą szkoły, do której klasy, jak im idzie nauka; z rozmów tych dowiaduję się wielu rzeczy.

— Czy przychodzi do pani dużo dziewcząt?

— O, bardzo dużo. Nieraz całemi klasami; częstokroć też jakieś dwie, trzy dziewczynki, przyjęte przezemnie, sprowadzają resztę koleżanek. Ogromnie sobie cenię to uznanie wśród młodzieży, najmilszych moich widzów. Nie wyobraża sobie pani jak lubię grać dla młodzieży, jaka to szalona przyjemność mieć taką bezpośrednią, entuzjastyczną, cudowną publiczność. Nikt tak nie umie przyjąć aktora, jak młodzież.

— Czy dostaje pani listy z prośbą o radę, jak wstąpić na scenę?

— Niech pani sobie wyobrazi, że takich listów jeszcze nie miałam. Te, które dostaję, zawierają przeważnie jakieś pochwały dla mojej osoby, *posądzają* mnie o jakieś niesłychane przymioty: a to jestem dobra, a to miła, podoba im się moja gra, moja powierzchowność. Dostaję także całą masę listów od chłopców. Pewien młodzieniec żądał wysłania aż trzech fotografij i to na poste-restante. Naturalnie, że ich nie dostał, podejrzewałam go bowiem — i zdaje się, że słusznie — że chce założyć sobie sklepik z fotografjami.

— Sądzę, że pani braciszek (zdaje się, że to braciszek, czyż nie tak?) musi się cieszyć wielką popularnością wśród kolegów?

— A tak, Walery jest jednym z mojego rodzeństwa. Mam bardzo liczne rodzeństwo, jestem najstarsza, muszę więc zastępować dzieciom ojca. Walery mieszka ze mną w Warszawie, reszta dzieci w Krakowie, przy mamusi. Bardzo z niego kochany chłopiec, chodzi do







czwartej klasy, dobrze się uczy, mam z niego pod każdym względem pociechę.

Co do tej popularności, sądzę, że owszem, ma pewien prestiż w klasie, nic w każdym razie o tem nie wspomina. Czasem tylko powie mimochodem: „wiesz, Lalu, przyjdzie do mnie dziś kolega po obiedzie, będziemy razem odrabiać lekcje... a potem może mu dasz fotografję z autografem". To znaczy, właściwie biorąc, chodzi tylko o lekcje, a fotografja ot tak tylko, na dodatek.

— Jeszcze jedno pytanie: jaki jest pani ideał młodej dziewczyny?

— Mojem zdaniem powinna w sobie łączyć zalety „dzisiejsze" z „wczorajszemi" — samodzielność i rozwagę z skromnością i łagodnością. Powinna być gospodarna, umieć sobie sama wszystko zrobić. Gospodarstwo jest zresztą bardzo przyjemnem zajęciem, ja naprzykład strasznie je lubię. Nie mam wprawdzie potrzeby, gdyż w moim domu gospodarstwo prowadzi matka mego męża, w każdym razie zajmuję się obowiązkowo wszystkiem, co ma bezpośredni kontakt z moją osobą, t. zn. sprzątam mój pokój, dbam o bieliznę, kołnierzyki, ceruję pończochy. Bardzo lubię cerować pończochy. A wie pani jak nauczyłam się gotować? Na wycieczkach. Jestem narciarką, taterniczką, wioślarką, kiedy więc wybieraliśmy się na jakąś dłuższą wycieczkę mieliśmy dyżury, każda więc z nas musiała umieć gotować.

Młoda dziewczyna powinna mojem zdaniem być uzbrojona we wszelkie umiejętności kobiece, gdyż nigdy nie wiadomo, jak się jej losy potoczą. Ja naprzykład nigdy nie sądziłam, że zostanę artystką, przypuszczałam raczej, że pójdę utartą drogą na uniwersytet. Wogóle moja karjera sceniczna była dziełem przypadku. Zupełnie przypadkowo zaproponowano mi małą rólkę chłopca (byłam jeszcze wtedy w gimnazjum), z której widocznie dobrze się wywiązałam, gdyż zaraz po tem dyrektor krakowskiej Szkoły Dramatycznej poradził mi wstąpić tam. Kończyłam więc ostatnie dwa lata gimnazjum jednocześnie z dwuletnim kursem szkoły. Nie wiem, jakim cudem to mi się udało. Po skończeniu szkoły zaangażowano mnie do Teatru im. Słowackiego w Krakowie, potem do Łodzi, a wreszcie przyszła moja rola popisowa w Warszawie: Julja. Wtedy nawet mój mąż powiedział: „teraz wierzę, że jeszcze kiedyś będzie z ciebie wielka artystka". Bo musi pani wiedzieć, że mąż mój jest najsurowszym moim, najwięcej odemnie wymagającym, krytykiem. Największym też moim triumfem są słowa uznania od niego.

Gdy wracałam do domu pogoda była prawdopodobnie tak samo brzydka, tak samo padał deszcz, zmieszany ze śniegiem, jak wówczas, gdy szłam do utalentowanej artystki. Chmurne jednak i mgliste niebo rozjaśniało wspomnienie miłej, pełnej słońca twarzy Karoliny Lubieńskiej i to może pomagało mi tak dzielnie brnąć przez błoto, pluchę i śnieg.

Molly.

WASZA STRONICA

MÓJ FERALNY DZIEŃ.

(kartka z pamiętnika)

Dziś mamy piątek. Budzę się z rana z tą błogą myślą, że idziemy do „budy" na 9-tą, więc jest jeszcze jedna godzina odpoczynku. Lecz, o Rany Boskie!!!... Toż ja na dzisiaj nic nie umiem. Niemiecki słówek dwie strony, historja oraz inne rzeczy, ani zielonego pojęcia. Ale właściwie... to wszystko bagatelka! Pójdę na ósmą... no i jakoś to tam będzie... Staram się zagłuszyć, o ile możności, nieznośny głos sumienia, który mi wyrzuca moją zbyt gorliwą pilność i nucę sobie (na całe gardło) moją ulubioną piosenkę:

Janeczka moja mała,
Ma czwórkę istny cud.
Od belfra ją dostała,
Za znojną pracę i trud.

Ale już dosyć tych błazeństw, trzeba na serjo wziąść się do pracy. Wsadzam palto i czapkę, a pustą tekę wraz z parasolem (chociaż o deszczu ani się nie śniło) pod pachę i w nogi. Za chwilę słyszę przeciągłe wołanie: Janeczko-o-o! Janeczko! Oglądam się i widzę pędzącą kuzynkę z rozwianym włosem, która wymachując na wszystkie strony rękoma i nogami wrzeszczy:

Bój się pieca! Janeczko, pędzisz do szkoły bez książek, a co najważniejsze, bez śniadania. Nic nie jesz, a wiesz, że jeżeli taki Mamut boi się, aby wskutek silnej anemji, nie wywiązały mu się suchoty, to cóż dopiero mówić o tobie. Ach cóż to za roztrzepaniec!!.

Porywam więc z rąk kuzynki wszystkie podane graciki i pędzę co tchu dalej. Wpadam jak bomba do klasy i zastaję w niej parę koleżanek, pod względem pilności najzupełniej, podobnych do mnie, a biedzących swe główki, w jaki sposób możnaby skrócić półstronicowe opowiadanie niemieckie. Porywam więc zeszyt z rąk koleżanki, „odrzynam" słówka.

Potem (siadam) opowiadanie niemieckie.

Wreszcie siadam, wielce zadowolona na kaloryferach, tłumacząc Liwjusza przy pomocy preparacji (a la bryk), ale na nieszczęście nic mi się nie klei. Lecz o zgrozo!!!!... To już dzwonek!! Ehm! zresztą wszystko mi jedno. Grunt, że mam dobre uszy! Po chwili zjawia się w klasie nasza kochana Cioteczka. Serce mi wali jak młotem, a z piersi wydobywa mi się ciężkie westchnienie: „Jezus Marja!" Trzęsę się cała, jak galareta, a Cioteczka, jakby naumyślnie, zbliża się do moich liter alfabetu. Jeszcze momencik, a z Janeczką będzie krach! Jakimś szczęśliwym trafem Cioteczka o mnie nic zawadziła. Na niemieckim krew mi się z nosa puściła (oczywiście, chustka, umoczona w czerwonym atramencie), wobec czego nie byłam pytana. Matematyki, to ja się nie boję, bo przecież i z algebry (wtedy, kiedy jest geometrja i na odwrót) jestem lumen de lumine. Teraz zbliża się najokropniejsza chwila! Historja, której nawet nie powąchałam. Wchodzi „Tato"! (profesor). Wszystkie biedaczki na gwałt się uczą, a ja siedzę i patrzę z udanym spokojem w oczy „Taty" (niby że wszystko świetnie umiem). Tymczasem „Tato" — (za stary wróbel na takie plewy) wyciąga notes i mówi:

— Możeby... tak nam to powiedziała... w formie pięknej i ozdobnej ew.. Milczarkówna!

Oczywiście jeszcze prędzej siadam, niźli wstałam, a „Tato" z tryumfującą miną namalował w notesie czwórę*). Siedzę więc z nosem, spuszczonym na kwintę, przyrzekając koleżankom, że się dziś jeszcze powieszę na łańcuchu. Wtem słyszę zbawczy głos dzwonka, który obwieszcza nam koniec dzisiejszych tortur. Pędzę, jak furja do domu i ze złości (dla lepszego trawienia) połykam na rogu Słowackiego (ulica) porcję lodów! W domu ,po obiedzie mówię do Mamusi:

— „Jak się masz Mamuśku! wiesz co kochanie? Belfer wlepił mi czwórę, a przecież wszystko tak wyśmienicie umiałam. Ale pa... niemam czasu! Pędzę na lekcję".

I, tak, poczciwą i pilną Janeczkę ominęła niewątpliwa bura.

Janka — „Kiku".

*) 4-ka w Wielkopolsce równa się „Warszawskiej" 2-ce.

BRATNIE DUSZE

KOCHANA REDAKCJO!

Z ostatniego apelu do naszych serduszek, pragnę aby kochana Redakcja umieściła taki kącik pod nazwą „Bratnie dusze", by czytelniczki mogły podawać swoje zamiłowania i adresy dla zawarcia bliższych przyjaźni i prowadzić z sobą korespondencje czy to na łamach pisma czy osobiście. Proszę o to bardzo.

Podaję swoje zamiłowania. Nadewszystko kocham piękno przyrody we wszystkich jej postaciach, dobre książki, nasze czasopismo, dobre filmy. Kocham pracę, szczególnie taką, która daje mi zadowolenie (zajęcia kobiece). Lubię uprawiać sporty. Jeśli znajdzie się czytelniczka o podobnych zamiłowaniach proszę szukać we mnie bratniej duszy.

Chinka.

Oczekujemy dalszych zgłoszeń naszych czytelniczek do zawierania koleżeńskich znajomości w kąciku „Bratnie Dusze".

Czytelniczki mogą podpisywać listy bądź nazwiskiem, bądź pseudonimem. Zarówno w jednym, jak w drugim wypadku należy przysłać w tejże kopercie, ale na osobnej kartce dokładnie wypisane: imię, nazwisko i adres do wiadomości redakcji. W razie nadejścia odpowiedzi na drukowane w naszym dziale listy będziemy je przesyłali adresatce pod warunkiem załączenia znaczka pocztowego za 30 gr. na koszty przesyłki. Czytelniczki, chcące uniknąć zwłoki na swoje apele do „Bratnich Dusz" mogą podawać imię, nazwisko i adres na łamach pisma. W tym wypadku będą otrzymywały listy bez pośrednictwa Redakcji.

BĄDŹ ZDROWA I ŁADNA

Mleko jest pokarmem pełnowartościowym, gdyż przez pewien czas jest jedynym i wystarczającym produktem spożycia młodziutkich ustrojów (niemowlęta). Z chwilą, gdy zapotrzebowania ustroju wzrastają, mleko przestaje być główną pozycją w jadłospisie, staje się natomiast cennem dopełnieniem. Jak się przedstawia spożywanie mleka wśród młodzieży w wieku szkolnym? Mleko jest ogólnie produktem niechętnie spożywanym, a raczej zażywanym, jak niesmaczne lekarstwo. Mama długo musi namawiać i prosić, aby mizerne biedactwo wypiło szklankę mleka. Długie wahanie i wreszcie bohaterska decyzja: mleko zostaje wypite z takim wyrazem twarzy, jakby to była conajmniej rycyna, która jak wiadomo, nie jest środkiem cieszącym się ogólną sympatją.



Czy słuszna jest niechęć do tego białego, wonnego, o przyjemnym smaku napoju?

Od dawien dawna mleko odgrywa dużą rolę w pożywieniu ludzi. Przypomnijmy sobie, jak to było z tym kotem, który chadzał własnemi drogami, wszystko mu jedno kędy, z kobietą jaskiniową, mlekiem i zasłoną u wejścia do jaskini w pięknej bajce Kiplinga. Pozwólcie mi teraz zrobić wielki skok w historji „kulinarnej", przenieść się z czasów kamienia łupanego, do czasów dzisiejszych i opowiedzieć parę słów o ciekawych doświadczeniach nad mlekiem, które porobili uczeni angielscy i amerykańscy w ciągu ostatnich kilkunastu lat.

Pan C. Baum w ciągu czterech lat obserwował dzieci w pewnej szkole na przedmieściu Londynu. Dzieci były podzielone na dwie grupy: jedna grupa na śniadanie otrzymywała mleko, druga herbatę. Różnica była wyraźna: dzieci, pijące mleko szybciej rosły i przybierały na wadze, lepiej wyglądały, były bardziej żywe i hałaśliwe, mniej chorowały, aniżeli dzieci pozbawione mleka. Analogiczne doświadczenie przeprowadził drugi uczony Mc Collum. Murzyniątka z pewnej szkoły murzyńskiej podzielił także na 2 grupy (nazwijmy je Nr. 1 i Nr. 2). Grupy Nr 1 i 2 dostawały jednakowe pożywienie z tą tylko różnicą, że grupa Nr. 1 dostawała dodatek mleka. Po roku murzyniątka zostały zbadane. Grupa I wykazała lepszy przyrost na wadze, wzroście i objętości, aniżeli grupa II. W następnym roku odjęto grupie I dodatek mleka i zaczęto podawać grupie II. Po roku obie grupy zrównały się. Paton i Findlay w Anglji spostrzegli, że 140 cm^3 mleka dziennie dodawane do pożywienia dzieci miejskich wystarczało, aby te wzrastały w tym samym stosunku, co dzieci wiejskie, przebywające w dobrych warunkach na świeżem powietrzu.

Dodatek mleka w tych wszystkich przypadkach nie miał znaczenia powiększenia racji żywnościowej, gdyż podawane ilości były niewielkie np. 140 cm^3 (a szklanka mleka = 200 — 250 cm^3).

Wpływ mleka na wzrost i ogólnie dobry rozwój młodego organizmu prawdopodobnie zależy od zawartości w mleku pewnych witamin, oraz pełnowartościowego białka i soli mineralnych.

W krajach Zachodu jest duże zrozumienie dla wartości odżywczej mleka. Mleko jest tam ośrodkiem szerokiej propagandy. Szczególnie Anglja i Ameryka wykazują duże ożywienie w tym kierunku. Broszury i wielobarwne afisze zachęcające do spożywania mleka, instytuty mleczarskie i na szeroką skalę prowadzona akcja poprawienia jakości mleka — dają dobre rezultaty. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej w wielu szkołach wydawane są racje mleczne. W Ameryce Południ. „Kopa di leche" jest instytucją, która dostarcza uczniom filiżankę mleka dziennie. We Francji czyni się starania, aby w kantynach szkolnych, mleko było stałym produktem sprzedaży. W Polsce, o ile mi wiadomo, sprawę spożywania mleka przez młodzież w wieku szkolnym nie stawia się jako zagadnienie społeczne. Właśnie dlatego propaganda spożywania mleka zasługuje na poparcie.

Koszt wypitej dziennie szklanki mleka wynosi maksymalnie 12,5 gr. Wydatek ten napewno będzie mile widziany przez matki, które niejednokrotnie z troską patrzą na blade i zmęczone buzie swoich pociech. *H. Nowosielska.*



COŚ SMACZNEGO

LEGOMINA WITAMINOWA

Na jedną osobę liczymy po jednem jajku, cytrynie i listku białej żelatyny i 3 czubatych łyżeczek cukru (najdrobniejszego kryształu).

Żelatynę zanurzamy w zimnej wodzie, żeby zmiękła. Najlepiej zwinąć ją i włożyć w szklankę lub wysoki kubek i zalać wodą, wtedy cała będzie dokładnie zanurzona. Z cytryny ocieramy na tarce wierzchnią (żółtą) warstwę skórki, licząc skórkę z całej cytryny na 3 — 4 osoby. Oddzielamy żółtka od białek i żółtka ubijamy z cukrem do białości (gogel-mogel). Z cytryn wyciskamy soki i przecedzamy przez sito, żeby nie było pestek. Białka bijemy na pianę w głębokiej misce lub garnku. Gdy piana ubita wyciskamy z wody żelatynę, kładziemy ją do kubka czy rondelka i zalewamy 1/4 szklanki bardzo gorącej, gotowanej wody, żeby się dokładnie rozpuściła. W tym celu naczynie z nią można na chwilę postawić na blasze lub wstawić do gorącej wody, jeżeli odrazu się nie rozpuści. Gdy to nastąpi studzimy ją trochę, żeby płyn był ciepły, ale nie gorący. Do żółtek z cukrem wlewamy cytrynę i żelatynę, mieszamy jeszcze raz dokładnie, i wszystko razem wlewamy do piany, bijąc trzepaczką, żeby się dokładnie zmieszało. Wykładamy po zmieszaniu w głęboką salaterkę w której legumina będzie podana i wynosimy do zimnej spiżarni, lub wystawiamy za okno.

Jeszcze lepsza będzie ta legumina (ale trochę droższa), jeśli dla 4 osób weźmiemy 3 cytryny i 1 pomarańczę. Ocieramy wtedy skórkę tylko z pomarańczy. Jeżeli są białka, pozostałe od jakiejś potrawy gdzie użyto same żółtka, to możemy nie psując smaku leguminy powiększyć jej objętość dodając jedno białko, 2 łyżeczki cukru i pół listka żelatyny na każde 3 jajka. Legumina ta zastyga w ciągu pół godziny najwyżej, więc można ją robić w ostatniej chwili w razie niespodziewanych gości.



GASTON CH RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy).

Klemens Durand - Gardel ocenił chęć podobnego postępowania: przelotny rumieniec przemknął po jego twarzy. Lecz niemiłe uczucie, wywołane zachowaniem się dziewczęcia, trwało tylko chwilę.

— Panno du Colombel, mam zaszczyt przedstawić pani syna mego Piotra.

Janka skinęła głową i ze ściśniętem sercem spojrzała na tego pięknego chłopca o opalonej cerze i ciemnych łagodnych oczach, który składał przed nią ukłon.

— Drogi Piotrze — podjął znów konstruktor — przedstawiam ci pannę Janinę du Colombel, twą przyszłą uczenicę.

Twą przyszłą uczenicę!

Te trzy słowa sprawiły, że wszystko wokół Janki zawirowało.

— Nie mam potrzeby mówić ci, co panna du Colombel dla nas uczyniła. Wiesz, że uratowała trzy części fabryki, że uratowała plany „Kormorana", że z narażeniem życia, ocaliła nasz majątek i naszą przyszłość.

— Tak, ojcze, wiem o tem! — zawołał Piotr gorąco. — Jestem szczęśliwy, że mogę panią poznać i powinszować jej odwagi. Będę dumny, mogąc nauczyć panią naszego pięknego zawodu.

— Dziękuję... dziękuję panu... — powtarzała Janka zupełnie oszołomiona.

Przez chwilę przytłaczała ją taka radość, że stała, jak głupia, przed trzema mężczyznami, ze spuszczonemi oczami, nie śmiąc poruszyć się ani przemówić.

Klemens Durand - Gardel wyrwał ją z tego odrętwienia.

— A więc, moje dziecko — rzekł zupełnie ojcowskim tonem — jest pani zadowolona?

— Oh, proszę pana... Nie wiem już... Nie wiem, co panu odpowiedzieć!.. — bąkała Janka. — Przepraszam pana, że zwątpiłam...

Klemens Durand - Gardel podniósł palec.

— Dlaczego pani zwątpiła? Tego dnia kiedy poraz pierwszy ujrzałem panią w szpitalu, powiedziałem: „Ja i moja rodzina zaciągnęliśmy u pani wielki dług wdzięczności, a takich długów Durand - Gardelowie nigdy się nie wyrzekają". Obiecałem pani, że życzenie jej będzie spełnione, i dziś dotrzymuję tej obietnicy z wielką radością, niech mi pani wierzy.

Janka słuchała go w milczeniu. Powoli odzyskiwała równowagę. Podniosła głowę i oczom trzech mężczyzn ukazała twarz jaśniejącą radością, czyste spojrzenie i dumne, piękne czoło.

— Oto co postanowiłem — powiedział konstruktor. — Pani opuści Nantes w dniu, kiedy jej się będzie podobało, ażeby udać się do Paryża. Zgłosi się pani do mnie, do mego prywatnego mieszkania, gdzie moja żona i córka Magdalena przyjmą panią z otwartemi ramionami. Niech pani się tam stawi możliwie najprędzej, albowiem musimy przygotować dla niej specjalny ekwipunek, zanim pani podejmie kierownictwo samolotu... Chciałbym ażeby pani była gotowa na 15 września, to znaczy najpóźniej za 3 tygodnie... Będzie pani miała akurat tyle czasu, ażeby zdążyć poczynić przygotowania i zaznajomić ze swemi dotychczasowemi czynnościami tę ze steno - daktylografek, która obejmie to stanowisko po pani. Czy zgadza się pani?

— Tak, proszę pana — odrzekła Janka.

— Czy pani jest zadowolona?

— Jakże mogłoby być inaczej! — odparła dziewczyna. — Pan spełnia moje życzenie w sposób tak wspaniałomyślny, że nie znajduję dość słów, ażeby mu podziękować. Zrobię wszystko, ażeby się okazać godną pańskiego zaufania. To wszystko, co mogę panu powiedzieć — dokończyła patrząc nań takim wzrokiem, że Klemens Durand - Gardel wyciągnął do niej obie ręce.

— Brawo! — zawołał. — A teraz, zamieńmy „shake - hand", jak mówią nasi przyjaciele Anglicy.

Uścisnął obie ręce Janki, zdziwiony siłą z jaką odwzajemniła jego uścisk.

— Teraz — rzekł — pozostaje mi tylko prosić panią, żeby zechciała przyjąć drobnostkę, jako pamiątkę przeżytych przez panią, zarówno tragicznych godzin, jak tych ostatnich, szczęśliwych [illegible]

Wyjął z kieszeni szerokie płaskie pudełko i podał młodej dziewczynie.

Janka wzięła je, odwiązała opasującą je niebieską wstążeczkę, otworzyła... Nagłe wzruszenie na chwilę przesłoniło jej wzrok.

Pudełeczko zawierało piękny wisiorek: na tle niebieskiej emalji widniał „Kormoran" o szeroko rozpostartych skrzydłach i dwa koncentryczne koła, jedno z małych brylancików, drugie z perełek jednakowej barwy i wielkości, tworzyły ramę dla motywu środkowego i zawierały następujący napis, wyryty w platynie:

„W niebo zawsze skrzydłem wzlatuj..."

— To znak lotniczy, skomponowany na intencję pani — rzekł Durand-Gardel. — Ale, chcąc uzasadnić pani dewizę, byliśmy zmuszeni do popełnienia herezji w dziedzinie nauk przyrodniczych, albowiem Kormoran jest czarny, a nie — biały. Mniejsza o to jednak, gdyż z tego Kormorana, przy pani pomocy, zrobimy białą gołębicę francuskiego lotnictwa kobiecego.

— Przyjmuję tę wróżbę — rzekła Janka stanowczym tonem. — I przyjmuję ten klejnot z najgłębszą wdzięcznością. Nie rozstanę się z nim nigdy.

— A więc — powiedział Durand - Gardel wesoło — jeżeli pani pozwoli, mój szofer odwiezie panią do domu. Tam pani się upiększy, to znaczy zmieni swą roboczą suknię na inną i spotka się z nami punktualnie o 12-ej w Grand Hotel'u, gdzie razem zjemy śniadanie. Proszę panią, ażeby zechciała też przyprowadzić swą babcię, bowiem muszę z nią odbyć półgodzinną rozmowę. Zrobione?

— Tak, proszę pana.

— A więc dowidzenia, panno Janino. Z Lemonnier'em i moim synem mam do pomówienia...

Janka zaróżowiona z radości, uścisnęła dłonie trzech mężczyzn i wybiegła, lekka jak ptak.

* * *

W dwa tygodnie później Janka stała pośrodku swego pokoju, pod różowem światłem lampy.

Miała na sobie szarą suknię i płaszcz podróżny. Strój ten uzupełniał mały kapelusik fileowy, trochę ciemniejszy w tonie. Całość skromna, sportowa, uwydatniała rasowość, dystynkcję, wdzięk i zdrowie, tej, która ten strój nosiła.

Janka wolno zapięła rękawiczki i poprawiła buntowniczy kosmyk włosów.

Obok niej pani de la Chantaignery, w czerni, ze swem nieodłącznem „lorgnon" na długiej szyldkretowej rączce, robiła niemożliwe wysiłki, ażeby pozostać spokojną. Ale jej pomarszczona twarz, którą zmuszała do uśmiechu, podkrążone oczy, dziwnie błyszczące, zbielałe wargi i drżący podbródek — mówiły wyraźnie, jakie uczucia miotały jej sercem.

Wszedł jakiś mężczyzna; był to syn Philippon'a.

— Wózek jest na dole, panienko — rzekł, zdejmując czapkę. — Pan Lemonnier będzie tu za chwilę... Czy mogę znieść bagaże?

— Tak, Wiktorze — odpowiedziała Janka — oto są.

Wskazała ręką mały kuferek z czerwonej fibry, starą skórzaną walizę, pudełko do kapeluszy i neseser podróżny z czerwonej skóry, bardzo zniszczony i owinięty w pled.

— Dobra... Zaraz je zniosę na dół — rzekł Wiktor.

Wziął walizkę, później postawił ją z powrotem i odezwał się nieśmiało:

— Czy mogę coś powiedzieć, panienko?

— Co takiego, Wiktorze? — spytała Janka zdziwiona.

— Widzi panienka, strasznie nam przykro, że panienka wyjeżdża — zaczął Wiktor. — Więc... zrobiliśmy małą składkę między sobą... Oh, nie tysiące, ani setki, niech się panienka nie obawia! Wszyscy, którzy panią znają i ją szanują... dali coś... ażeby kupić dla panienki kwiaty i... drobnostkę „na szczęście"... maskotkę, jak to się mówi... Jest dwoje, którzy mają to pani wręczyć... To panna Róża i Ludwik, goniec biu[illegible]

— Niech wejdą!.. — przerwała Janka, bardzo wzruszona.

Wiktor podszedł do drzwi i otworzył je. Ukazała się w nich Róża, a za nią Ludwik.

Oboje wystroili się, w co mieli najlepszego. Róża, bardziej „złota" niż zazwyczaj, miała na sobie suknię krepdeszynową, jaskrawo zieloną, na szyi — kolję z zielonych kamieni i na rękach bransolety z imitacyj rubinów. Do tego uważała za stosowne dodać czarny jedwabny płaszcz na fiołkowej podszewce, zielony aksamitny kapelusz, oraz balowe pantofelki ze złotej lamy. Ludwik paradował w granatowym garniturze, czerwonym krawacie i mocno żółtych półbucikach o spiczastych noskach. Beżowa czapeczka w kratę dopełniała stroju. Róża niosła duży pęk róż białych i czerwonych, zaś „goniec", purpurowy z dumy, zmieszany i przejęty ważnością swej roli, trzymał w swych niezgrabnych rękach wyrostka, małe pudełeczko, z którem obchodził się tak ostrożnie, jakgdyby zawierało Święty Sakrament.

Para ta była tak wzruszająca w swej poczciwości, że Janka z trudem powstrzymała łzy, napływające jej do oczu.

—Kochana Różo!... Ludwiku... — wyrzekła, siląc się na uśmiech — sprawiacie mi wielką przyjemność tą wizytą.

— Jesteśmy delegowani przez kolegów — zaczęła Róża — do wręczenia pani kwiatów, a wraz z kwiatami...

Nie mogła dokończyć.

Usta jej się wykrzywiły, jak dziecku, które zamierza się rozpłakać: opanowała jednak wzruszenie, ażeby nie być zmuszoną do poprawiania „makijażu", który kosztował ją już całą godzinę starań.

— Ja też, proszę pani... Ja... ja... zrobi mi pani wielki zaszczyt — bełkotał Ludwik.

Oboje, tym samym ruchem, serdecznym i niezręcznym jednocześnie, podali Jance jedno — bukiet róż, drugie — pudełko.

— Dziękuję wam, kochani przyjaciele, z całego serca. Nie zapomnę nigdy waszej serdecz[illegible]

Janka wzięła kwiaty i po wyrażeniu zachwytu, położyła je na swym neseserze; były to piękne, pachnące róże o zaledwie rozchylonych kielichach. Później, rozwiązała sznurek, którym było związane pudełeczko, cierpliwie rozwinęła trzy różnokolorowe bibułki, podniosła wieczko i wreszcie ujrzała fetysze: była to bransoletka ze słoniowej szerści, owinięta złotą nitką, na której wisiał medaljonik, z następującym rebu[illegible]

Nasz znak
zawsze cię wyratuje

Po drugiej stronie medaliku, czytało się napis:

Janinie Bel
du Colombel
jej przyjaciele
z Nantes.

— To jest zachwycające.... I nic nie mogłoby wzruszyć mnie więcej! — powiedziała Janka.

Włożyła bransoletkę i wyciągnęła ręce do Róży, która ją pocałowała, musnąwszy zaledwie wargami, gdyż nie chciała zostawić jej na policzku pieczątki ze swej pomadki do ust.

Wreszcie, delegacja z fabryki oddaliła się.

Wiktor, na dole, pilnował bagażu. Babka i wnuczka zostały same.

Dziewczyna, z czułością pochyliła się do rąk pani de la Chantaignery i poniosła je do ust prawie z nabożeństwem.

— Kochana Janeczko, moja droga mała Janeczko... — szepnęła staruszka. — Patrzeć tak, jak odjeżdżasz... wiedzieć, że codziennie będziesz narażała życie... Mój Boże! To być nie powinno...

(d. c. n.).

ROBOTY RĘCZNE



WYCINANKI.

Temat wycinanek poruszam nie dlatego, żebym je uważała za specjalnie godną polecenia technikę zdobniczą. Przeciwnie, uważam że możność właściwego ich zastosowania w życiu inteligencji, zwłaszcza w mieście, jest bardzo mała. Ponieważ jednak jest to technika, która korci-- (tak tanim kosztem można zrobić dużą i kolorową rzecz), — wiem, że wiele Czytelniczek będzie jednak robiło wycinanki, wolę więc aby robiły je dobrze, a nie złe. Pozatem jest to technika tak nieskomplikowana, że łatwo będzie na jej przykładzie objaśnić wiele ogólnych zasad, tyczących się zdobnictwa i kompozycji. Rodzice wycinanki to papier i nożyczki. Nadałam im nazwę rodziców, bo wycinanka dziedziczy wiele cech po tej parze.

Papier jest cienki, da się równo składać i załamywać, daje więc możność wycinania kilku jednakowych form jednocześnie, czego nie daje żaden inny materjał, wycięte brzegi nie strzępią się na włókna, ma swoją sztywność, dzięki czemu nawet bardzo powycinany zachowuje swoją ogólną pierwotną formę. Nożyczki mają tę własność, że wygodnie jest niemi wycinać wszystkie ażury, które zaczynają się do brzegu papieru i wchodzą wgłąb. W ten sposób wszystkie wycięcia np. w gwiazdach, zaczynają się od brzegów złożonego koła czy kwadratu.

Jeżeli natomiast zechcemy wyciąć ażur przez wbicie ostrza nożyczek w papier (nie od brzegu) i rozpoczniemy w ten sposób wycinanie, będzie to dla nożyczek trudniejsze, a dla papieru nieodpowiednie, da w tem miejscu nieładny brzeg wycięcia.

Jeżeli właściwie używamy papieru i nożyczek powstaje prawdziwa, rasowa wycinanka, która ma swój wdzięk, nie jest pretensjonalna i dlatego jej osobiście nic nie można zarzucić nawet, jeśli zastosuje się ją, jako dekorację w nieodpowiedniem otoczeniu. Prawdziwa wycinanka musi być wykonana absolutnie bez ołówka — nożyczki same znajdują sobie drogę w papierze i nadają mu właściwe dla swoich możliwości formy.

Są jednak wycinanki pretensjonalne, które probują upiększyć się przy pomocy ołówka. Znacie zapewne te długie fryzy wycinankowe, na których z dzbanuszka, umieszczonego pośrodku rozchodzą się na obie strony esowato wygięte długie i cienkie łodyżki, a do nich przyczepione są listki i kwiaty, mające kształt bardzo postrzępionego dzwonka, na którym nalepiony jest drugi mniejszy, na nim trzeci jeszcze mniejszy. Te cienkie i tak płynnie wygięte łodygi nie obyły się bez pomocy ołówka. W dodatku wycinają je każdą oddzielnie, bo trudno wyciąć równo tak długą i nietrzymającą się sztywnością papieru formę ze złożonego na pół arkusza, a to znowu przeczy zasadom wycinanki, której symetrja czy to dwustronna czy gwiaździsta, zawsze wypływa z cięcia złożonego papieru.

Tak więc wycinanka zamiast upiększyć się tym ołówkiem zatraciła swój wiejski wdzięk i stała się pretensjonalna, nie zyskują nic, gdyż ani trochę nie stała się bardziej elegancką i nie przestała być mimo wszystko tylko papierem.

Jest jednak typ wycinanki, która wstydzi się swego pochodzenia i stara się przestać być papierem. Ten typ, to sprzedawane w sklepach z papierami firaneczki bibułkowe, wycinane we wzory odpowiednie dla haftu richelieu. Wykonanie ich nie wymaga składania, wymaga natomiast przebijania bibułki nożyczkami, lub nawet użycia nożyka, a wzór musi być koniecznie rysowany ołówkiem. W takim okazie niema już nic rasowości, jest to poprostu zwykły kundel, w dodatku z niewiadomej przyczyny uważający się za coś pięknego.

Firaneczka wycinankowa z bibułki może być dobra i w jakiejś wiejskiej świetlicy, czy w niewysokim pokoju o gładkich ścianach i suficie bez sztukaterji może dobrze wyglądać, ale aby wykonać ją prawidłowo, składamy bibułkę na pół i jeszcze raz na pół i t. d. aż póki nie otrzymamy długiego wąskiego pasa, który z jednej strony (dół firanki) wycinamy w jakieś zęby i ażury (zawsze zaczynane od brzegu). Po złożeniu otrzymujemy powtarzające się na każdym złożeniu motywy, prawdziwie wycinankowo wykonane.

W wycinance, tak jak w każdej technice, trzeba wprawy. Z początku kompozycja gwiazdy czy firanki może wychodzić uboga i nie ciekawa. Aby wprawę osiągnąć, nie marnując papieru kolorowego, róbmy próby z gazety. Od początku do końca trzymajmy się jednak prostych form nieskomplikowanych nacięć, bez nadmiernych wykrętasów, które trudno jest równo wyciąć nożyczkami, aby nie wpaść w pretensjonalność.

J. Ładzianka

Z. Korczakowska.

WŁADKA

Umie już przyszyć misterne falbanki,
wie jak się robi pliska i zakładka;
głowę pochyla zimowym porankiem,
błękitne oczy wypatrując w ścieg —
ot, taka sobie dziewczyna z pracowni,
mizerna Władka.
Za szybą okna pada śnieg.
Za szybą okna huczy dziwny świat.
Władka z jedwabiu szyje dzisiaj kwiat
do pięknej, tęczowej sukienki
dla pięknej, nieznanej panienki.
I marzy — płatek zrywając do płatka,
że sama pójdzie w tej sukni na bal —
Muzyka... światła... piękna sala... cuda...
Krepdeszynowy kwiat marnie się udał..
Uśmiech na ustach ma mizerna Władka.
Odgarnia włosy z bladej skroni —
piętnastoletnia podręczna z pracowni.

Magja zręczności.

Zwracałyście się już niejednokrotnie do nas z prośbą o wskazówki praktyczne przy szyciu, poprawkach i przeróbkach. Ołóż, stosując się do Waszych próśb podajemy szereg niezbędnych rad i wskazówek, które zechciejcie zapamiętać.



Rys. 1.



Rys. 2.

Powinnyście przyswoić je sobie praktycznie.

Przedewszystkiem każda kobieta, czy dziewczynka, musi sobie zdać sprawę z tego, że wygląda ładnie i estetycznie tylko wtedy, kiedy wszystko, co ma na sobie włożyła starannie, prosto, obciągnęła i pozapinała należycie. Następnie wszystko to, co nosi, chociażby stare i zniszczone, powinno być całe, czyste i odprasowane. Wtedy każda dziewczynka starannie i czysto ubrana, będzie wyglądała o wiele ładuiej od dziewczynki w modnej, ale zmiętej i wyplamionej sukni.

Tedy więc woda, mydło, szczotka i żelazko — to sprzymierzeńcy Waszej nowej, a tembardziej starej garderoby. Suknię, którą się często nosi, trzeba wietrzyć starannie i od czasu do czasu odprasowywać. Jeżeli jest wełniana, prasuje się ją przez mokry galgan gorącem żelazkiem po lewej stronie, żeby się nie wyświeciła. Potem przez 24 godziny zostawia się ją w spokoju. Zabezpiecza to ją od ponownego, szybkiego zgniecenia. Sukienki jedwabne prasuje się również po lewej stronie, ale żelazkiem zaledwie letniem.

O ile przeznaczacie coś do przeróbki, zapoznajcie się najpierw ze stanem materjału, z którym będziecie miały do czynienia. Obejrzyjcie dokładnie pod światło, czy niema dziur, czy nie jest przetarty i przesiany. Te wszystkie defekty trzeba będzie usunąć przy przekrawaniu materjału.

Drugą niezbędną czynnością jest doprowadzenie materjału do stanu świeżości. Jeżeli szczotka i wywabienie plam nie wystarczą, trzeba materjał uprać w domu lub chemicznie i dopiero potem go przerabiać. Inaczej rzecz przerabiana będzie nosiła znamię rzeczy starej i nieświeżej i przeróbka nie na wiele się przyda.

Jeżeli cały czas mówię o „materjale", a nie o sukni, spódniczce, czy bluzce do przerabiania, to robię to z całą świadomością. Przeróbka gruntowna tylko wtedy jest udana całkowicie, jeżeli przedmiot jest popruty na kawałki, uprany, uprasowany i uszyty nanowo. Wtedy naprawdę powstaje nowe ze starego. Jest i miło i pożytecznie.

Na sprucie i odświeżanie materjału nie można żałować sił ani czasu, ani nawet pieniędzy.



Rys. 7



Rys. 8.



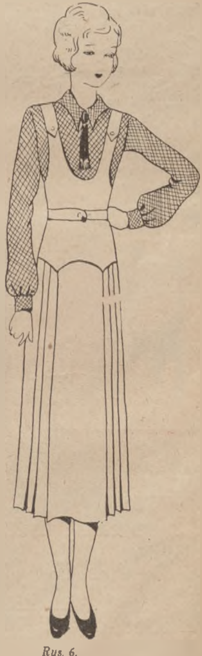
Rys. 3.



Rys. 4.



Rys. 5.



Rys. 6.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Bo wszystkie powyżej przytoczone zasady mają również duże znaczenie i ze względów higjenicznych. Zdrowo jest nosić wszystko czyste. Zapobiega to swędzeniu skóry, wysypce i wydzielaniu potu, przyczem uwalnia sąsiadów (i siebie) od wdychania nieprzyjemnego odoru.

Sądzę, ze dłużej nie potrzebuję przekonywać Was o słuszności powyższych zasad.

Teraz chciałabym Wam pomóc w Waszych kłopotach garderobowych. Może, która z Was jest na stancji, albo ma zapracowaną matkę, może wreszcie doszła do przekonania, że niepotrzebnie ktoś ma zajmować się jej garderobą, skoro potrafi to zrobić zupełnie sama. Może... Ale nie szukajmy innych przyczyn.

Chcecie to zrobić same, albo same obmyślić, przygotować i oddać do roboty krawcowej domowej lub w mieście.

Przypuśćmy, że obszarpały się u mundurka mankiety i rękaw jest za krótki, a mankiet za wąski (rys. 1). Trzeba stary odpruć ostrożnie szpilką, rękaw odczyścić w miejscu zeszycia, przygotować kawałek materjału, odprasować go, złożyć podwójnie i skrajać nowy mankiet, przypuszczając na szerokość i tyle na długość, ile potrzeba. Jeżeli brak materjału na podwójne złożenie, trzeba mankiet podszyć obcym materjałem. Po uszyciu przypiąć go szpilkami do rękawa, przyfastrygować i dopiero wtedy wszyć (rys. 2). Po uszyciu zrobić dziurki i przyszyć guziki. Naturalnie porządnie uprasować po lewej stronie, po skończeniu.

Jeżeli macie spódniczkę (rys. 3) porządną, szeroką, ale zakrótką, nie do włożenia, chociaż obręb oddawna został spuszczony, trzeba ją przerobić. Jak zacząć wiecie już. Potem trzeba będzie odciąć kawałek z szerokości spódniczki i zrobić z tego karczek w ząb z produ a równy z tyłu. Do niego wszyje się spódniczkę, z głęboką kontrafałdą do środka (rys. 4). Będzie spódniczka, jak nowa.

Może, która z Was ma sukienkę wełnianą, jedwabną lub płócienną, w której wydarte są łokcie i dziury pod pachami (rys. 5). Nie trzeba uważać jej za nieużytek. Po spruciu i odpowiedniem przygotowaniu materjału, można mieć z niej ładną suknię. Z całych części rękawów i góry staniczka trzeba dorobić karczek do spódniczki i wszyć ją do karczka. Ze stanika wyciąć górę i głęboko pod pachami i dodać ładne guziczki na szeleczkach. Powstanie w ten sposób staniczek wycięty, który zeszyje się ze spódniczką (rys. 6). Do takiej sukni można nosić bluzeczkę w deseń z długiemi lub krótkiemi rękawami. Suknia doskonała na lato i zimę, bo ciepło uzależnione jedynie od rodzaju włożonej bluzki.

Czasem „wyrasta" się z bluzki, jest zakrótka, wychodzi ze spódniczki. Widać to na rys. 7. Trzeba dokupić materjału w deseń, zrobić ładny karczek, wycięty w zęby i w ten sposób podłużyć bluzkę. Duże, kloszowe mankiety z tego samego materjału, co karczek, doskonale wykończą bluzeczkę, z której będziecie zadowolone, jak z nowej (rys. 8).

Jeżeli macie wątpliwości w jakiejś kwestji toaletowej, możecie się do nas zawsze zwracać z pytaniami.

M. D.

KTO TO ROZWIĄŻE?

LOGOGRYF.

Dziewięć zachwyceń *jedenaste* niesie
Mimo kryzysu bajkę szczęścia *trzecie*,
Moc wzniosłych *pierwszych*, jak tuzin*) wwyż rwie się,
Aby na skrzydłach młodości polecieć!..
Lecz, jak hodować ideału ziarno,
Trzynaste, często tak sprzeczne, zrozumieć,
Świat pytającem spojrzeniem ogarnąć,
Odnaleźć siebie w *szóstych* obcym tłumie.
Rzecz nie *czternasta*... Lecz baczność dziewczęta!
Nadzieja *osiem*... Ślemy przyjaciela —
O Waszych troskach on pragnie pamiętać,
W *czwartej pomagać*, w smutku rozweselać.
Dziesiąta szkolna Twoją codziennością,
Czyś już po *drugiej*, „wolnej" życia stronie,
Pięć go, niech *siedem* trochę życzliwości,
Przyjmij serdecznie wyciągnięte dłonie!

*) *dwunasty.*

Sylaby logogryfu: cie, cy, do, dy, dzi, ka, le, lu, ła, ław, my, my, no, o, pra, prą; rzeł; śli; śni; świ; ta; taj; twa; wej; wi, wie, zna, ży.

Środkowe litery wyrazów czytane pionowo, dadzą rozwiązanie.

Alina Kmiecińska (Warszawa).

Za rozwiązanie *Logogryfu*, redakcja przeznacza nagrodę książkową w drodze losowania.

Termin nadsyłania rozwiązań z niniejszego numeru upływa dnia *20 marca 1933 r.* Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem redakcji, z dopiskiem: *„Rozrywki umysłowe"*.

13. SZARADA.

Pierwsza-czwarta słynna rzeka
Krwawe fale toczy.
Gładkie *trzecie-drugie* człeka
Chwyta wnet za oczy.
Żadna nas już *druga-czwarta*
Dzisiaj nie przeraża.
Pierwszy-drugi-trzeci z Martą
Chce iść do ołtarza.
Druga-trzecia-czwarta imię
— Może mieć i żona —
Całość święci zawsze w zimie
Dzień swego Patrona.

Marjan Fontana (Poznań).

A TERAZ POROZMAWIAMY!

P. Natalja Łuk. Wilno. — Bardzo nam było przyjemnie otrzymać list z prośbą o radę, dowodzi to, że „Świat Dziewcząt" zdobył już zaufanie Czytelniczek, o co nam najbardziej chodzi. Co się tyczy szkół średnich i zawodowych malarstwa i zdobnictwa — to podaję odpowiedni spis. Szkoły, w których nauka trwa 5 lat, to: Kraków, ul. Mickiewicza 7. Państwowa Szkoła Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego; Lwów, ul. Snopkowska 47 Państwowa Szkoła Techniczna, Wydział Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego; Poznań, ul. Jezuicka 5. Państwowa Szkoła Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego.

4 lata nauki ma Miejska Szkoła Sztuk Zdobniczych i Malarstwa. Warszawa, ul. Myśliwiecka Nr. 8.

Sądzimy, że z tego spisu wybrać będzie można coś odpowiedniego, czego serdecznie życzymy.

ZOSIA I DŻOKI



Biedna psina leży chora — Zosia poszła po doktora.

Ledwie doktór wszedł... odsapnął — —Dżoki z łóżka—hops!—i drapnął!

Dudnią schody... „Stój ty zbóju!—" Wtem- bums! —Zosia koziołkuje!

Zosia stęka... Bolą boki, a wszystkiemu winien Dżoki.

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.—; półrocznie — zł 5.—, kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł. 1 —
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy Szerokość i łamu 54 mm 1 mm w łamie 60 gr Cała strona 720 — zł

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel 239-40. Rudolf Mosse, Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T Pietraszek, Marszałkowska 115: Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95, Międzynarod. Biuro Ogl., Senatorska 29, „Ruch", Wydz Ogl., Poznańska 68; Jan Apte, Zielna 26. „Par", Bracka 17- „Merkury", Królewska 49. Kraków „Par", Rynek 46: Cieszyn: Rudolf Pszczółka, Rynek; Katowice „Par" Poprzeczna 8. Lwów „Par", Akademicka 14. Łódź. Fuchs, Piotrowska 50; Poznań: Pol Agencja Rekl. „Par" 27 grudnia 18; Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14: Gdańsk: „Devera", Koblenmarkt 10

Redaktorki: Hanna Januszewska Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca Tow Wyd „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 244-18 i 787-03. Konto P. K. O. Nr 18.800
Redaktorka przyjmuje w poniedziałki i środy od godz 11 do 13.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.